Numer 19 Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 6 Maja 1928**



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406 301 Kraków.

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Rady.

Jeśli jechać, to sanną,
Kiedy szaleć, to z panną.
Jeśli mknąć drogą gładką,
To z nadobną mężatką.
Flirt uprawiać szarówką,
Najstosowniej jest z wdówką.
Płonąć mocno, lecz krótko
Z czarującą rozwódką.
Każdą chwilą, godziną,
Zawsze z miłą „babiną“.



Cięta odpowiedź.

Młody oficer szasta się przed frontem. Nie podoba mu się postawa pewnego starego rezerwisty.

— Czem zajmujecie się w cywilu, stary dziadu?

— W cywilu zajmuję się przygotowywaniem młodzieńców do składania egzaminu na oficerów!



Flegmatyk.

— Na miłość Boską, dziecko wypiło atrament! Co mam robić?

— Pisz ołówkiem...

Aforyzmy.

Przyjaciele będą ci mówić, że są szczerzy, lecz twoi wrogowie są dopiero prawdziwie szczerzy. Pozwól, aby nagana twoich wrogów była ci, jak ta gorżka medycyna, uważana jako środek poznania samego siebie.



Poważna przyczyna.

— Czemu spóźniłeś się do szkoły? — pyta nauczyciel.

— Byłem potrzebny ojcu w domu, panie psorze!...

— Nie mógł się ojciec wyręczyć kim innym?

— A nie mógł proszę pana psora, bo to mnie właśnie dawał w skórę...



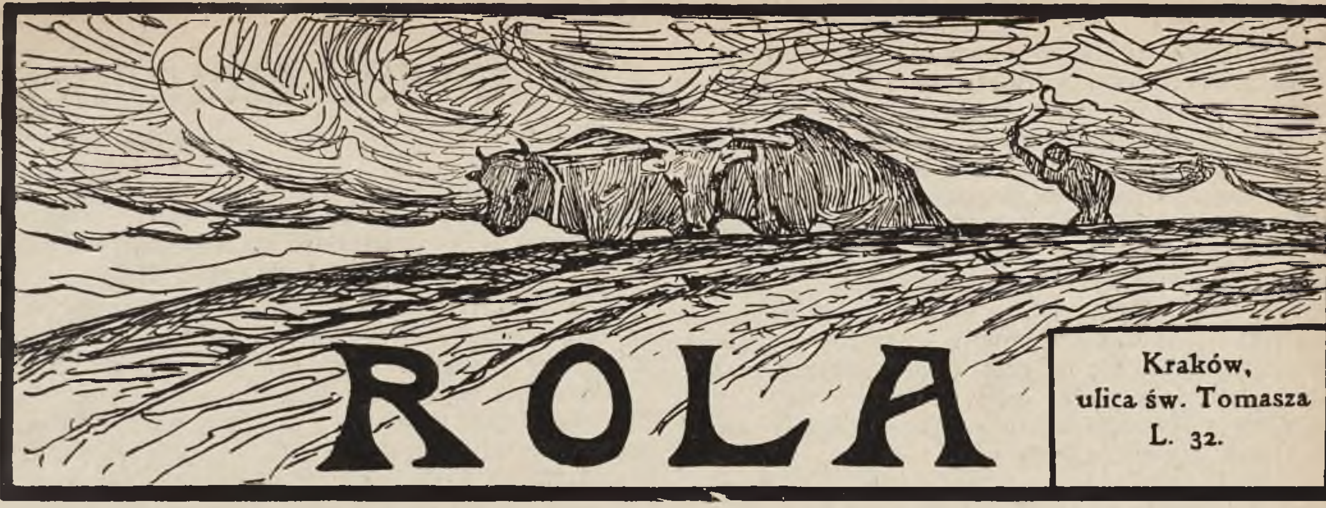
Ostrzegał.

Sędzia (do człeka, którego małoletni syn oskarżony jest o powtórną kradzież):

— Wy, jako ojciec, powinniście czuwać nad synem i ostrzegać go!

Ojciec: — Codzień mu, panie sędzio, mówiłem: bądź aby ostrożny!

Numer 19. XI. Rok Kraków, dnia 6 Maja 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

W rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

„Witaj Majowa jutrzenko, świeć naszej polskiej krainie« — radosnem echem rozlega się pieśń nieśmiertelnych twórców Konstytucji 3 Maja.

Święcimy dziś wielkie święto narodowe i państwowe: Konstytucję 3 Maja.

Czemuż dzień uchwalenia Konstytucji 3 Maja podniósł naród do godności święta?

Państwa Polskiego Konstytucja 3 Maja nie uratowała, — ale uratowała naród!...

Była ona wspaniałym testamentem ginącej Rzeczypospolitej. Była ona dla świata całego dokumentem, niezniszczalnem świadectwem tego, że upada państwo — narodu wielkiego...

Dowiodła ona dojrzałości i kultury politycznej narodu polskiego.

Nie była to rewolucja krwawa ani gwałt, zadany ogółowi przez jakieś stronnictwo lub jednostkę. Był to przewrót, dokonany bez rozlewu krwi, stanowiący dalszy krok w rozwoju świetnych tradycyj politycznych i wolnościowych Polski Jagiellońskiej, usuwający niedomagania machiny państwowej i otwierający przed Polską nowe perspektywy.

Zaczął się zwrot na lepsze. Dobro zaczęło brać górę nad złem. Naród zaczął się odradzać. Utworzono pierwsze w Europie ministerjum oświaty: Komisję Edukacyjną. Polska pokryła się w krótkim czasie siecią szkół, w których uczono już po polsku — nie po łacinie, wpajano uczucia narodowe i obywatelskie i przygotowywano do życia. Ożywczy ruch objawił się w dziedzinie przemysłu, handlu, w literaturze i sztuce.

Lecz wszystko to nie powstrzymało nieszczęścia narodowego. Przewyższające siły wrogów i wypadki zewnętrzne, przeważyły szalę na stronę nieprzyjaciół Polski. Podzielono ziemie polskie i odebrano władzę, — a bez ziemi i najwyższej władzy niema państwa.

Przez 129 lat naród Polski nie posiadał ziemi i władzy, był w niewoli państwowej Rosji, Niemiec i Austrji. Lecz przez cały ten czas naród żył, wzmacniał się, wzrastał — a siłę czerpał z tradycji swojej i z Konstytucji 3 Maja.

Pracowali wrogowie, silni i przebiegli, nad tem, aby naród polski uśmiercić: odebrać mu mowę, wiarę i historję; im jednak większe wysiłki czynili, tem głębiej sięgała w dusze narodu polskiego ta wielka myśl, którą wyraziła Konstytucja 3 Maja.

Przez te długie lata niewoli trzeciomajowa uchwała była poważnym czynnikiem, który wpływał na myśli i działanie całych pokoleń. Od następnego roku po uchwaleniu poczynając, rok za rokiem, w doli lepszej czy gorszej, — dzień 3 maja był jasnym promieniem wspomnień narodowych, był dniem rachunku sumienia dobrych synów sponiewieranej przemocą Ojczyzny, był momentem publicznego stwierdzania żywotności narodu, jego uczuć patrjotycznych i niezłomnej wiary w odzyskanie niezależności i własnego państwa.

Minął wiek cały prześladowania i schlebiania, tłumienia mamienia, obiecywania i oszukiwania.

Przez wiek długi trzeciomajowa jutrzenka złociła smutną drogę na szubienicę, na Sybir i do więzień tym, którzy pracowali i walczyli o duszę polską, o prawo do niepodległego życia tego pozornie spokojnego i śpiącego ogółu. Przez wiek ten cały pieśń „Witaj, majowa jutrzenko“ albo wybuchała radośnie na ustach polskich, albo kwiliła przy zapartych drzwiach i okiennicach, albo marła w pół słowa...

Przyszła wielka wojna. Naród Polski godziny przebudzenia nie przespał. Własną wolą i wysiłkiem, przy sprzyjających okolicznościach i Bożej pomocy, odzyskał niepodległość, a w dniu 17 marca 1921 roku Sejm ustawodawczy, jako przedstawiciel polskiego narodu i w Jego imieniu, „nawiązując do świętej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3 Maja“ — nową Konstytucję dla odzyskanego Państwa Polskiego uchwalił.

Dzień 3 maja stał się słusznie dniem święta narodowego i państwowego.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Konstytucja 3 Maja, ten manifest wiary Narodu nie stracił do dziś dnia wartości i nie straci jej, dopóki dla Polaka miłość Ojczyzny będzie najwyższem dobrem na ziemi; idea i wartość czynu sejmu czteroletniego, w przeddzień upadku bytu polityczego Na

rodu — jest i będzie tą arką przymierza, tym koścem życia polskiego, co z przeszłości idąc po przez upadki i wzniesienia, przez zwycięstwa i klęski — idzie w przyszłość, niosąc przed sobą niby w Sanktuarjum Narodowem dążność do urządzenia w Polsce życia najlepiej, do wprowadzenia Narodu na wyżyny ducha.

Dlatego wybraliśmy dzień 3 Maja na święto narodowe Polski wyzwolonej, że w Konstytucji majowej zamknął się symbol Narodu i w nim trwa. A tem jest on dla nas czcigodniejszy, że wyraził się pierwszy raz tak zwarcie i doskonałe w chwili, kiedy rozpacz i beznadziejność kładła się na całe życie polskie. Konstytucja 3 Maja dała wyraz tej wielkiej wierze, że nie masz silniejszej potęgi, silniejszej nad rozpacz samą, niżeli miłość Ojczyzny.

Święto Narodu, dziś kiedy nie rozpacz, ale pogoda i dobra wola rządy sprawują, przypomnieć ma, ujawnić ową potęgę patrjotyzmu i rok rocznie wskazywać drogi, któremi Naród, wsparty na swej przemożnej sile, powinien kroczyć.

Jest więc Święto Narodu, świętem radości i wesela, bo skupiwszy w sobie całą istotę dnia dzisiejszego, wskazuje na dzień, który przyjść ma jutro, dzień o tyle lepszy, o ile lepszemi będą, ci co tworzyć przyjdą.

Święto narodowe, to dzień Imienin naszej wspólnej Matki, każdy syn jej przyjdzie do niej i złoży jej w ofierze, co najdroższe posiada.

Kto w dzień ten modlitwą i czynem swoim nie dowiedzie prawdziwej miłości Boga i Ojczyzny, ten źle kocha Ojczyznę, ten nie godzien jest nosić imienia Polaka. Bo czcząc Święto Narodu, odajemy cześć i szacunek pracy naszej, uczciwości naszych zamiarów i czystości naszego życia. W życiu Narodu bowiem życie każdego z nas jest małą cegłą, na której zbudowany jest wielki, ogólny gmach.

A czcić to święto trzeba nietylko szumnem słowem, pochodami i graniem hymnów narodowych — ale przedewszystkiem czynem, takim czynem, któryby uczucia nasze tłumaczył doraźnie na działanie zgodne z tem, co ma wyrażać Święto Narodu.

Uczucie nasze w ten dzień mówić będzie: — Chcemy by Naród był szczęśliwy.

Niech nam powiedzą Uchwały Konstytucji 3 Maja — co czyni Naród szczęśliwym. Oto stan kiedy wszyscy na ten Naród składający się ludzie, będą świadomie pracować tak, aby w pracy swej widzieli szczęście wszystkich, a w szczęściu wszystkich szczęście własne.

Trzeba więc, jak to uczyniła Konstytucja 3 Maja, położyć główny nacisk na oświecanie wszystkich w Narodzie, aby nie było nikogo, ktoby pracując nie znał ostatecznego celu swej pracy.

Dzień rocznicy Konstytucji 3 Maja jest dniem Święta Narodowego, który najpełniejsze swe znaczenie ujawni w szerokiem rozpowszechnianiu oświaty, jako fundamentu, jako podstawy, jako podbudowy gmachu Przyszłości narodowej.

Jesteśmy Narodem, który każdą chwilę swego życia musi wykorzystać najlepiej, nie wolno nam tracić pustych słów, nie wolno nam tracić czasu na próby i doświadczenia. Nie wolno nam ominąć ani jednego Święta Narodowego, aby nie uzewnętrznić tego, czego się ono domaga, aby nie spełnić tego czynu, jaki w każym uroczystym dniu powinien w nas dojrzeć i uzewnętrznić się.

A świetlane duchy twórców Konstytucji 3 Maja, tego symbolu naszego dążenia narodowego w dniu tym będą, radości pełne wśród nas.

Franciszek Lewandowski.

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

XI.

Potęga turecka na morzu. — Korsarze. — Straszliwe przebudzenie. — „Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły.“

Nasza galera, zwana „Gołębicą“, mknęła po fali szybko, chociaż naładowana mnóstwem futer, drogich metali ze Wschodu i ukrytych między niemi drogich kamieni, jak się potem dowiedziałem. Niebawem popłynęliśmy pod Carogród i nie zatrzymując się wcale, wąziuchną cieśniną, Bosforem, wpłynęliśmy na morze Marmora. Cudnie się przedstawia zdala ta stolica padyszacha, ale serce mi się ścisnęło, że przed stu laty niespełna, jeszcze ona należała do chrześcijan, że tam, gdzie teraz błyszczą półksiężyce, wznosiły się wysoko złote krzyże kościołów naszych. A świecą i migocą na słońcu kopuły tureckich meczetów bardzo wysoko ponad tą modrą falą, która pieniąc się, uderza o skały nadbrzeżne.

Dalej znów Hellespont sławny (cieśnina Dardanelska) i już jesteśmy na morzu, które Archipelagem zowią, bo zasiane wyspami, a te, jak szmaragdy, zielenią się, rozsypane między Europą i Azją. Mijają nas rozmaite okręty w tej żegludze, rozmaite na nich powiewają flagi, ale najwięcej jest tureckich.

Opowiadał mi nasz kapitan okrętu, że w Europie żadne państwo nie posiada takiej marynarki, jak turecka .Ich admirałowie to ludzie uczeni, którzy na papierze wszystkie morza i lądy rysować umieją, a jakie mają armaty! To też ich potędze ulegają różne grody i państwa całe. Tu oblegają Marsylję w południwej Francji, tam znów na wybrzeżach Indyj potykają się ze sławnymi również żeglarzami portugalskimi. Niedawno grozili Rzymowi, w falach Tybru czerpali wodę. Tu znów zdobyli (1523 r.) gród niezwyciężony na wyspie Rodos, gdzie trzy wieki z górą opierali im się waleczni rycerze Jana Jerozolimskiego.

Wszystko mi to opowiadał kapitan wenecki, wskazując palcem na mapie, która przed nim leżała, kraje i miasta przez bisurmanów zajęte; były one poznaczone czerwoną farbą ,a tych czerwonych punktów przybywa co rok więcej i więcej. I nasza wenecka flota — mówił kapitan — choć sławna po wszystkie czasy, drży teraz przed Turczynem dzikim a łupieżnym! Sam sułtan Soliman Wielki puszcza się nieraz na morze. O tym sułtanie także się dziwów nasłuchałem różnych. I dobrze mi było, żem się w niewoli u Edygi od innych jeńców po włosku był nauczył cokolwiek, bom się mógł teraz rozmówić z Wenecjanami i dowiadywać ciekawych rzeczy.

A tymczasem noc zapadła i wolniej już posuwaliśmy się, żeby nie uderzyć o skały, ukryte pod wodami Archipelagu. Znużony, usnąłem twardo na pokładzie, z głową opatrą o jakąś pakę z towarami, a we śnie zdawało mi się, że widzę, jak po fali morskiej sunie okręt ogromny i coraz olbrzymieje.

Na przodzie samym stał rycerz turecki, także olbrzym w zawoju i podnosił krzywy miecz swój do góry, że aż w obłokach błyszczał niby półksiężyc srebrzysty. A ten Turek wielkolud na olbrzymim okręcie pędzi wprost na naszą galerę i zgniecie ją pewnie, jak łupinę z orzecha... Serce mi biło gwałtownie, wyciągałem ręce, żeby się bronić, czy zasłonić... wtem straszny huk wstrząsnął mną całym i jak długi runąłem na pokład!

Budzę się, oczy przecieram: wkoło mnie zamęt i rozruch, ludzie biegają w różne strony, błyskają światła wśród czarnej nocy, i znowu huk straszny, niby grzmot: jeden, drugi, trzeci! To z armat strzelają! Co się stało? — pytam. — Nikt nie odpowiada, a tuż koło mnie przelatuje, furcząc i świszcząc, kula i ginie gdzieś w ciemności. Kapitan wydaje rozkazy, z trudnością dobiegam do niego i dowiaduję się, żeśmy zgubieni, bo nas opadli korsarze tureccy ze wszech stron i żadnego niema ratunku. Kilku marynarzy poległo, maszt główny strzaskany i już bisurmany wrzeszcząc, cisną się na pokład.

W jednej chwili leżeliśmy powiązani na pokładzie, a Turcy łupili okręt, zabierając paki w nim zawarte i przenosząc je szybko na swoje statki; a było ich kilka, bo ze wszech stron błyskały światła złowrogie. Ja miałem czas pochwycić Leszka małego i z nim razem leżeliśmy związani, obok pęku lin zwiniętych. Poprzenosiwszy paki, korsarze zabrali się do nas i także poprzerzucali na któryś ze swoich statków. Biedna „Gołębica", która się broniła z początku, podziurawiona tureckiemi kulami, szła szybko na dno. Dalej już nie wiedziałem, co się stało; bo mię wraz z innymi rzucono na dno okrętu i tylko przez drewniane jego boki słyszałem głuchy huk fali morskiej, zgrzyt łańcuchów i targanie lin.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil w mojej niewoli... Przed kilku godzinami spokojny, szczęśliwy, płynąłem, myśląc, że każda chwila mnie zbliża do ojczyzny ukochanej, a teraz? Skrępowany leżę w ciemnicy, jakby w brzuchu potwora, nic nie wiedząc, co się ze mną stanie. I nie wiem, coby ze mną było, gdyby nie to uczucie, że Bóg Wszechmocny czuwa nad nami, że i z tej ciemnicy, gdzie ciało skrępowane bez ruchu pozostaje, duch mój ku Niebu wznieść się może. Modliłem się też gorąco do Boga, do tej Matki Najświętszej, której wizerunek czułem na piersi mej, do tej pocieszycielki strapionych, i zwolna, zwolna, nadzieja jakaś zaczęła mi wstępować w serce, a łzy gorące spływały po twarzy. Leszek, biedne dziecko, tulił się do mnie, a ja go pocieszałem, mówiąc o tym Ojcu Przedwiecznym, który nas pewno nie opuści, i sam się czułem coraz spokojniejszy, silniejszy na duchu.

XII.

Żywcem pogrzebani. — Towarzysze niewoli. — Kozak i Grek.

Ranek zaświtał, ale dla nas przez wązkie szczeliny tylko wdzierały się słońca wschodzącego promyki, które pozdrawiałem, jak zwykle, odmawiając hymn do Bogarodzicy. I w tej chwili właśnie ustało skrzypienie lin i szum około okrętu: staliśmy na kotwicy. Zaczęło się znoszenie pak, tupanie i ciężkie stąpanie na pokładzie, nad głowami naszemi; wreszcie i na nas kolej przyszła: zdjęto nam więzy i wypędzono na ląd, a było, prócz mnie i Leszka, kilkunastu ludzi z załogi „Gołębicy", kapitan i kupiec. Co z nimi się stało, nie wiem; mnie z kilku innymi zaprowadzono do wielkiej jaskini, gdzie dostaliśmy koziego mleka i placków jakichś owsianych, twardych, jak kamienie.

Byliśmy tedy w ręku korsarzy tureckich, którzy znać dobrze powiadomieni o nas przez jakiegoś zdrajcę z załogi „Gołębicy", od razu porozdzielali nas według zysku, jakiego się spodziewać mogli. Kupca, kapitana i jeszcze jakiegoś podróżnego mieli uwolnić za dobry okup, mnie zaś z kilku silniejszymi ludźmi zapędzili do pracy w łomach marmuru, znajdujących się na wyspie, do której przybyliśmy. Leszka biednego próbowali mi wydrzeć, ale chłopczyna nie chciał żadnego pokarmu do ust przyjmować, dopóki mnie znów nie zobaczył, a że był wątły i mizerny, dali mu jakoś spokój i został z nami. Na noc zamykali nas w jaskini, zawalając wejście wielkim kamieniem, który z zewnątrz tylko poruszać się dawał; mieliśmy prócz tego kajdany na nogach; z rana dozorcy pędzili nas do kopalni, gdzie cały dzień musieliśmy pracować.

Wyspa była prawie pusta, tu i owdzie wyrastały drzewa oliwne z szarawym liściem i cyprysy, a w jaskiniach było mnóstwo kryjówek, gdzie korsarze niewolników i złupione skarby przechowywali. Mieli też między skałami wygodną przystań, gdzie się kryły ich statki. A codzień nieledwie wyruszali na połów i przywozili ludzi, towary, czasem kobiety i dzieci małe nawet. Wszystko to jednak odbywało się dalej, z drugiej strony wyspy, a nas, w kopalni zamkniętych, zdala tylko dochodziły krzyki, przekleństwa i kłótnie bisurmanów, albo jęki i skargi jeńców nieszczęsnych, których potem, jak towar, rozsyłano w rozmaite strony na sprzedaż lub wymianę.

Ciężki był los mój, a jednak nie traciłem i wtedy nadziei, chociaż czułem się pogrzebanym w tym kamiennym grobie. Najokropniej było wieczorem, kiedy nas zawalano ogromnym kamieniem i zostawaliśmy w ciemnicy straszliwej, do której się żadne światełko nie przezierało. Towarzysze moi, a było nas około dziesięciu różnych narodowości: Włochów, Francuzów i Greków, ale po większej części chrześcijan, choć trudno było to poznać, jedni klęli w okropny sposób, inni jęczeli i narzekali, ale powoli udało mi się ich namówić do wspólnej modlitwy i znów co wieczór, jak to niegdyś w szopie u Edygi-beya, śpiewaliśmy pieśń wieczorną. Jednego dnia ja intonowałem „Bogarodzico!" z Leszkiem, a inni głosem tylko wtórowali; drugiego dnia znów Włosi, majtkowie, ulubione „Ave Maria Stella" (Witaj Gwiazdo Morza) zaczynali, i tak stopniowo wszyscy się do tego przyzwyczaili; a dziwnie brzmiał ten śpiew pod ziemią, w łonie kamiennej skały, gdzie nas żadne ucho nie słyszało, żadne oko widzieć nie mogło, Boskie tylko, które i wnętrzności ziemi przenika.

A tak się jakoś stało, że ja, choć między towarzyszami najmłodszy, miałem nad nimi władzę niby, bo mnie wszyscy szanowali i nawet słuchali. Nieraz mi się udało rozbroić dwóch ludzi, co się już z pięściami na siebie rzucali; godziłem zwaśnionych, a przy robocie nie próżnowałem ani chwili, tak, że nadzorca zaczął być dla mnie ludzkim i względnym nawet. Praca zahartowała moje siły, a na duchu, Bogu dzięki, nie upadłem; parę razy przemówiłem do nadzorcy naszego śmiało, ale bez zuchwalstwa, o lepsze dla nas pożywienie i lampkę na noc, obiecując za to, że wszyscy gorliwie pracować będziemy; i udało mi się, a towarzysze jeszcze więcej mnie za to polubili. Później doszło do tego, żeśmy już bez kajdan sypiali, co było wielką ulgą, bo żelaza raniły nam nogi i spać nie dawały na posłaniach z mchu i liści przygotowanych.

— Widzisz — synu mój — rzekła pani Bohowitynowa, łzę ocierając — jak to Bóg krzepi każdego, kto w Nim ufność ma i wszędzie uczciwie sobie poczyna; i twój los przez to stawał się lżejszym i dla innych jeszcze byłeś podporą a osłodą.

— Między niewolnikami — mówił Jan — znajdował się jeden stary Kozak z nad Dnipru, z którym pokochaliśmy się bardzo; on mnie inaczej nie chciał nazywać tylko „panyczeńku!" Rozpowiadał nieraz o Siczy, o mołojcach, z którymi niejednę odbył wyprawę, aż go wkońcu pochwycono rannego, kiedy w czaj-

kach z braćmi Kozakami umykał, podpaliwszy jakiś gród turecki na wybrzeżu czarnomorskiem. Stary Maksym śpiewał nam tęskne dumki, szczęśliwy, że ja go rozumiem, a wieczorem dziwne rozpowiadał baśnie, albo ciekawsze jeszcze dzieje młodości swojej.

Drugi jeniec, także z siwiejącym już włosem, Grek z rodu, ale mówiący i po włosku, pociągał mnie również ku sobie. Smutny był bardzo, bo mu Turcy siedzibę jego spalili, żonę i dzieci wymordowali, a jego w niewolę powlekli; ale spokojny, nie szemrał, nie przeklinał, tylko czarnem okiem wpatrywał się w dal, jak gdyby tam za morzami, za chmurami szukał ojczyzny swojej. Harmodjus, tak się zwał ów Greczyn, polubił mnie, bom mu przypominał zabitego syna w tym właśnie wieku; od niego znów nasłuchałem się historji o jego pięknej ojczyźnie, o gajach laurowych i białych, marmurowych pałacach, z których teraz tylko zwaliska zostały. Grek umiał z marmuru wykuwać piękne postacie, jakby żywe i znajdował w tem pociechę, choć mu korsarze zabierali wszystkie roboty, żeby je potem sprzedawać gdzieś daleko. Maksym znów za pomocą żółwiej skorupy urządził sobie jakąś lirę, czy teorban, na którym wygrywał wieczorami, przyśpiewując swoje dumki kozacze. I tak w niewoli nawet życie znośniejszem się stawało.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Marysine kochanie.

Ozbolało Marysie serce.

Ozbolało dlatego, że Jasiek, którego szczerze ukochała, odwrócił się ku Zosi Przezębiance, patrzał w Zosine oczy, Zosi grywał na skrzypkach a o Marysi, która oddała mu swe wierne, kochające serce na wieki, zapomniał.

A Marysia bladła z tęsknoty i ino ten bór, przez który szedł ku niej Jasiek w szczęśliwe dnie, widział jej łzy i ino te mchy puszyste słyszały łkania i skargi, bo kładła się na nie i szeptała, zawodziła...

Zmiarkowała coś matka i rzece:

— Maryna, dyć nie jeden Jasiek na świecie. Wawrzek Woźnik rodby cie broł...

— Ej matuś, coz zrobie, kiedy Jaśka lubię, co cud.

Prała raz Marysia w potoku, odchyliła się jej nieco na piersiach koszula, prawie nadszedł Jasiek. Patrzy na Marysie, na koszule, zatrzymał się i mówi:

— Maryś, pieres?

Drgnęła, uniosła głowę i oczyma jak bławaty zapatrzyła się w niego.

— Pierem...

— Słysałem, ze idzies za Wawrzka Woźnika?

Popatrzyła na niego dziwnie, coś ścisnęło ją za gardło, nie odrzekła nic, tylko pochyliła się nizko i prała dalej. Ścisnęło ją za serce tak, że myślała, iż się przewróci we wodę, ale nic.

Jasiek jeszcze coś rzekł, ale nie słyszała, nie widziała, a łzy leciały do wody, jak perły.

Wieczorem poszła do lasu. Szła cicha, smutna, a smreki jakby odczuwając jej ból, szumiały smętnie.

— Ej Jasicku Jasicku, ej Jasicku...

Chata Jaśka na drugim końcu boru stała, szła Marysia wiadomą sobie ścieżką, nie wiedziała poco, ale szła.

Wieczór wiosenny był, ciepły, wonie jakieś cudne wiały od hal.

Szlochało serce Marysine, hej, za straconem szczęściem, które rozkwitło w taki wiosenny wieczór, jak dzisiaj.

Las się kończył. Gdzieś zdala dobiegła ją tęskna melodja, to Jasiek grał na swoich skrzypkach.

Zatrzymała się, zasłuchała a potem wyciągła ręce i jak długa runęła na mchy.

— Hej, kochałak cie, ej tuliłak cie a teroz coz mam? Boli me serce za tobom Jasicku... spodobałyk ci sie corne ocy Zosine, Zosie teroz tulis, Zosi grywos pieknie, jakeś mnie grywoł, ej Jasicku... serce ozpuknie mi sie ze zolu...

Zdala dobiegało ciągłe Jaśkowe granie. Siedział zapewne, jak zwykle, przed swoją chatą na powalonym pniu i grał. Może tęskno mu było do Zosi a może przypomniał Marysię...

— Grej Jasicku, grej! Nasłuchom sie jesce, natuie tego granio, na wieki. Zebyś mi tez kiedy na mogiłce zagroł... cies sie Jasicku ze Zosiom, cies... boli me serce, nimo go kto utulić, utuli śmierć...

Zaszumiały smreki donośnie, zapłakał wiatr w gałęziach. Dźwignęła się Marysia z mokrego od łez mchu i poszła hen, przed siebie, ku ciemnym szczytom górskim, aby sie stracić na wieki.

Orlica.

Wesele Zosi...



U Macieja tęga mina
I humor nielada —
Napił wódki u Feingrüna
Swojego sąsiada.
Kupił prosie na wesele
Swej najmłodszej Zosi,
Bo w najbliższą już niedzielę
Sąsiadów zaprosi,
Aby przy biesiadnym stole
Pojedli, popili,
Potem hej, w wesołym kole
Ogniście tańczyli...
Bo też na weselu Zosi
Będzie chłopstwa kupa,
Gdyż ich ojciec tyle sprosi,
Ile ich chałupa
Zmieścić jeno w swojem łonie
Będzie wówczas zdolna;
Będą druchny, drużby, konie —
Cała wieś swawolna!

*

Dla ostatniej swojej córy
Maciej wszystko daje —
Będą gęsi, kaczki, kury —
Żółte korowaje.

Robert Rydz.

HISTORJA PIOTROWIN.



Stanisław Szczepanowski urodził się w r. 1030 w Szczepanowie. Bóg dobrotliwy zadowolił wolę jego bogobojnych rodziców: ojca Wielisława i i matki Bogny i z dzieciątka ich »stała się sława Bogu i ludziom«. Stanisław już w zaraniu życia okazywał zarody przyszłych cnót świętych: był pobożnym, miłosiernym i pilnym w naukach. — Po odebraniu początków nauk w rodzinnym Szczepanowie, udał się do Gniezna, a potem do Paryża, gdzie kształcił się przez 7 lat. Po powrocie do kraju obrał zawód duchowny, a wkrótce jego świątobliwe zalety zwróciły uwagę przełożonych i niedługo został mianowany kaznodzieją i kanonikiem przy katedrze krakowskiej. Gdy umarł ówczesny biskup krakowski Lambert Zula, został nim Stanisław mając lat 41. Czasy jego panowania na stolicy biskupiej przychodzą, kiedy królem był Bolesław Śmiały. Stanisław świecił na tym urzędzie przykładem wskutek swego świątobliwego życia, z którego możemy wysnuć fakt, jak był w łaskach i miłości u Boga.

* * *

Na zamku krakowskim, w jednej z komnat, na ławie przykrytej skórą niedźwiedzią, siedział Bolesław ubrany w kaftan łosiowy, przepasany pasem bawolim, gęsto dzianym drogimi kamieniami, z za którego błyszczała klinga krótkiego myśliwskiego noża. Przed nim stało w nieco kornej podstawie trzech rycerzy. Jeden z nich mówił:

— Miłościwy Panie! Jako nam rozkazałeś, jesteśmy.

— Sulisław, Piotr, Jakób, krewni zmarłego Piotra? — zapytał ciekawie król Bolesław.

— Tak Miłościwy Panie.

— Słuchajcie tedy. Doszły mnie wieści, jako krewniak wasz, nieboszczyk Piotr, niedługo przed śmier-

cią sprzedał wieś Piotrowin Stanisławowi ze Szczepanowa. Ale świadków niema i nie będzie. Słuchajcież więc! Tylko to, co powiem, niechże będzie między nami, bo inaczej...

Spojrzał na nich groźnie.

— Owo wy go oskarżacie przede mną, jako tę wieś nabył nieprawnie. Świadków nie będzie, jak powiedziałem, to i sprzeciwu nie będzie. No i zobaczymy, jak się ten mnich obroni, — dokończył z pewną nienawiścią. — A dla was to i dobrze. Ziemia może być i nagroda! — Rozumiecie?

— Jako chcesz, Panie, tak będzie — rzekli rycerze.

— Jak będzie sąd, to przyjdźcie. A teraz z Bogiem...

Rycerze, skłoniwszy się, odeszli.

* * *

A w onym czasie król odbywał wielkie sądy na Solcu. Zebrało się luda mnogo. Byli i kmiecie i ziemianie i rycerze, jedni jako oskarżyciele, drudzy jako oskarżeni, a wszyscy wiedzeni jakąś ciekawością, bo już było wiadome, że przed sądem ma stanąć świątobliwy mąż, Stanisław z Szczepanowa.

Na drugi dzień odbył się sąd. Siedziały powagi pełne męże, na ławach ustawionych pod ścianami, brody białe spływały im na piersi, z oczu wyzierała powaga i spokój powinne sądziom. W środku na wysokim krześle obitym drogą tkaniną, siedział Bolesław i chmurnem okiem spoglądał wokoło. Po jednej stronie stali owi trzej rycerze a po drugiej biskup ze Szczepanowa, wyniosły spokojny, twarz miał zwróconą ku górze, usta poruszały się modlitwą. Zda się nie zważał na otoczenie. Król skinął. Dźwięk trąb trzykrotnem echem odbił się o mury zamku. Sąd się rozpoczął.

Jeden z sędziów wstał, a zwracając się ku Stanisławowi, rzekł:

— Stanisławie! Oto trzej tu stojący rycerze: Piotr, Jakób, Stanisław, herbu Strzemię, oskarżają cię, jakobyś nieprawnie nabył Piotrowin od ich krewnego nieboszczyka Piotra. Azali przeczysz ich słowom?

Stanisław spojrzał na mówiącego uważnie i rzekł:

— Ja tę wieś od Piotra kupiłem! A jako fałsz nie skalał ust moich, tak i to, co mówię, prawdą jest. Atoli tu mnie o ziemię nie chodzi, bom ją nie dla siebie, ale dla Kościoła kupił. Lecz wy nie wierzycie, bo Pan spuścił srogi bicz na was i jesteście pogrążeni w fałszu i obłudzie, a ten, który między nami jest najwyższy i który powinien świecić innym, jest najgorszy!

Bolesław zerwał się z siedzenia, twarz mu się krwią zalała, wpił wzrok w mówiącego — ale się upamiętał. Na obecnych znać było przygnębienie. Tak to mąż świątobliwy zdruzgotał ich swemi słowy. Wreszcie jeden z sędziów rzekł:

— Czemże potwierdzisz prawdę słów swoich?

— Klnę się na Boga, jako prawdę mówię, a jeżeli wam to nie wystarczy wskrzeszę samego Piotra; on zaświadczy!

— Ha! ha! ha! ha! ha! — rozległ się śmiech króla.

— Bacz, czy jeno nie zabardzo ufasz swojej mocy!

— Nie moja tu moc, ale Boga.

Tu padł na kolana i zawołał:

— Panie litościwy daj grzesznemu twemu słudze łaskę, niech ci oto niewierzący poznają moc Twoją — o Panie, żebrzę łaski nie dla mojej, ale dla Twojej chwały! — — —

— Wy słuchajcie! Pan spuści iskrę światła na umysły wasze. Piotr przyjdzie i zaświadczy.

Potem powiódł iskrzącym wzrokiem dokoła i wyszedł.

Obecni spoglądali po sobie ze zdumieniem.

— Ha! czekajmy — zobaczymy — rzekł król.

* * *

Wyszedłszy z sali sądowej, szedł biskup spiesznie w stronę grobu Piotra. Wkrótce stanęli przed grobem. Mnogo ludu stało z zapartemi oddechami koło grobu, w oczekiwaniu czegoś nadnaturalnego. A Biskup rzekł do pachołków:

— Odwalcie kamień!

Rozkaz spełniono. Kamień został odwalony. Trumnę z nieboszczykiem położono przed biskupem, a ten, upadłszy na kolana, zaczął się modlić:

— Boże Wszechmogący! U Ciebie jest wszystko podobnem. Ty, który prawdą będąc, w prawdzie się kochasz, a fałsz, nieprawość potępiasz, wzbudź mnie i Kościołowi Twemu świadka, a osądzi sąd mój, który ja Tobie poleciłem.

Po tych słowach zawołał głosem wielkim:

— Piotrze! W imię Trójcy Przenajświętszej, ja tobie rozkazuję: wstań, a idź do sądu i świadcz prawdę!

Nagle szmer strachu i zdziwienia wydarł się z piersi obecnych. Rozległy się wołania: Cud! cud. Bo oto wieko trumny się dźwignęło i wyszła z niej postać rycerza. Lud, jak łan zboża rzucony wichrem, cofnął się, krzycząc w zdumieniu: Piotr! Piotr! A rycerz wraz z biskupem oddalali się ku sali sądowej...

A w sądzie oczekiwano. Król siedział posępny na swem krześle, a sędziowie-rycerze rozmawiali, czy też biskup ma taką moc, żeby aż nieboszczyka wskrzesić, nie zdawało im się to możliwem.

Mijały chwile... Biskupa nie było... Sędziowie i rycerze zaczęli się pomału uśmiechać ze swej łatwowierności. A król rzekł:

— Owo biskup nie dokona swego, za bardzo ufał, a kto ufa...

— Temu będzie spełnione — rzekł Stanisław, wchodząc do sali.

Wszystkich oczy zwróciły się na niego. —

Boże to cud! Piotr! Piotr — szeptały zatrwożone usta.

— Jam jest — ozwał się głos, jakby z pod ziemi, ale wyraźny. Zaprawdę powiadam wam, ten mąż prawdę mówi. Piotrowin został ode mnie kupiony!

I wszystko znikło. Nie było już Piotra tylko biskup zapytał:

— Zali jeszcze nie wierzycie?

— Ten mąż prawdę mówi! — rzekli sędziowie. —

A król i rycerze milczeli.

Kazimierz Barnaś.

Myśli.

Karm twą duszę nauki zdrowem, czystem ziarnem,
Dobre książki, dobre pisma, są duszy pokarmem.

Kto górą nosi głowę, dumny z swej nicości,
Ten najprędzej kark skręci, runie z wysokości.

Masz rozum, wolną wolę szczęśliwy człowieku,
Czyń, co ci się podoba, lecz końca wyczekuj.

Słońce, księżyc, gwiazd stada, świecące nam w nocy
To najwymowniejsze świadki Bożej są wszechmocy.

Piotr Wenc.



MACIEK BZDURA GADA:

Jak cłek wybierze się w niedzielę do kościoła i popatrzy na dziopy i baby z całej parafije, to jaz się mu dusa raduje, takie to wszyćko cyściusieńkie, kieby na obrazku. I myśli se, ze wiedział Pan Jezus, na co kobity stworzył, bo jakby nie one, to ta cała ziemia gnojemby porosła i byłoby brzydko i smutno na świecie. Tak se myślą wszyscy niezeniaci i tak se ja myślałem. A myślałem dopotąd, póki nie posedem w tamtą niedzielę do Michała zza-górki po nabożeństwie.

Ślimy se, t. j. Michał, Michałowa no i ja i godali i o tem i o owem. My ta oba z Michałem, jak to zwycajnie chłopy, co mają ręce od roboty scharowane, wyglądalimy jak kuzden chłop, co się bez cały tydzień nie leni. Ale Michałowa to jaz błyscała od jasności. Na głowie miała chusteckę jedwabną, na syji korale, jak gołębie jaja, a na dole spodnicę z falbankami i koronkami, ze jaze roskos brała na nią patrzyć. Sedem za Michałową i jaze mnie ślipia bolały, tagem się na nią ni mógł napatrzyć.

Ale jak my przyśli do chałpy i Michałowa zacęła się rozbirać, to ten piękny obrazek zaraz się zmieniać zacął i co trocha coraz bardziej się zmieniał. Ino zdjęła z głowy jedwabną chusteckę, dały się uwidzieć na jej głowie kudły, moze z Boży miesiąc niecesane, bo i tu i tam wyłaziło z nich gęsie piórko, abo i ździebko słomy. Michałowa zaraz wsadziła palice pomiędzy kudły i zacęła niemi po głowie harcować, bo jej jakiesik nieboraki okrutnie dokucały.

Nie chciało mi się juz więcej na Michałową patrzyć, ale jak się raz cłek poświęcił, to trzeba było dotrwać do końca. Trwałem, a Michałowa zrzuciła jednę spodnicę, potem drugą, trzecią, czwartą i piątą, a z kazdem zrzuceniem to ta jaśniuśka Michałowa z kościoła w chałpie coraz bardziej ciemniała i ciemniała, aż wkońcu z pod wszyćkich spodnic wylazła ostatnia taka, ze bez gnoju moznaby na niej rzepę posiać i być pewnem doskonałego urodzaju. A gdy jesce Michałowa zdjęła kaftonik i ślicznie wyglajcowane buciki, to była cała taka, jakby ją kto z gnojówki wyciągnął.

Mdłości mnie na to wszyćko zacęły brać, więc tez niemyślący wiele, pochwaliłem Boga i ucikem do chałpy. Po drodze spotkał mnie jednak nas prefesur i pada:

— Cóz ty Maciuś dzisiaj jakisik taki dziwny, jakbyś się blekotu najod?

A ja mu na to opowiadam, jak i co, a on się śmieje i prawi:

— Tobie się widzi, ze to ino jedna Michałowa taka z wirzchu otynkwana, a we środku nicem stara rudera. A ja ci powiadam, i wierz mi, gdyz niejedno ja juz na świecie widział, ze niejedna ona, ale znacna większość nasych dzieuch i kobiet, cy to wsiowe, cy miastowe, dworskie, cy nie dworskie, to one takie są: z wirzchu się świcą i pachną, a od środka śmierdzą. Nie wierzys? Spróbuj zobacyć, a przekonas się!

— One — prawił prefesur dalej — to jest dziopy i kobity, co prawda nie wszyćkie, ale prawie wszyćkie, to ino z wirzchu dbają o siebie, a we środku to niech tam będzie, bo tego, jak se myślą, nikt nie widzi. I latego właśnie, a nie z cnotliwości wielkiej, jakby kto myślał, o siebie się boją i wszyćkich od siebie zdaleka trzymają. Ocyby ci kuzda racej wydarła, nizby się zgodziła, abyś uwidział, co i jak gdzie jest.

— A wejdź do niejednej chałpy — padał dalej prefesur, — ą zuźrys tam po wirzchu wszyćko jako tako, ale co dalej, to jaz obrzydzenie bierze! Pod łózkiem śmiecie od Bozego Narodzenia, na stole i ławach kapustęby zasadził, a na garckach i miskach to łopatą moznaby zesłorocne jedzenie zbirać. I myślis, Maciuś, ze to ino na wsi tak bywa. Gdzie tam! Moze jesce więcej po miastach u tych panienek z obciętemi głowami i spodnickami powyzej kolanek. I nic dziwnego, bo jak miastowa dziopa traci po kilka godzin, aby swoje kudełki do jakiego takiego porządku doprowadzić, to ni ma casu ani na ućciwe pozamiatanie izby, ani na wychędozenie garków, cy sprzętów domowych. A często niejedna, aby się z wirzchu śklić, nie dba, co się pod spodem dzieje. Nie rozchodzi się jej zreśtą o to, bo wie, ze tam nikt bez pukania nie zaglądnie.

— Prawda — powiadam ja na to — bo musi być prawda, kiedy taki ucony cłowiek, jak prefesur, gada, ale znowu baby powiedzą, ze ja na nich huzia, a o chłopach nic!

— Nima strachu! — odparł prefesur. — Baba dbać powinna nie ino o siebie, ale i o chłopa. Jak baba brudna, to jej wina, ale jak chłop brudny, to dwie są jej winy. Kiedy chłop musi dbać o to, aby było co jeść, w cem spać, to baba powinna myśleć o tem, coby nietylko to wszyćko było porządne, ale zeby i ten zywiciel wszyćkiego nie chodził zasmolony, jak nie przymirzając, Boże odpuść, kominiarz, ale zeby był cyściutki i przytulny. O porządności baby nietylko po samej babie sądzić mozna, ale i po jej chłopie. Jak chłop brudny, to zaraz mozna wiedzieć, co baba jest plucha.

— A jak chłop baby ni ma?

— No to sam jest świnia, jak się nie ocharuzy!



Dzisiejsze żony.

Zaraz zrana wpadła bosa
Do pokoju, jakby osa,
Chodzi, brzęczy, gdera
I po kątach szpera.

Wszędzie nosek wściubi
(On tego nie lubi)
Tego dotknie, to porusza
I do złości zmusza.

Za cukierkiem się ogląda,
Jak go niema, to nie żąda,
Ależ — dajże spokój święty...
Krach... już buziak ma odęty,

I znów brzęczy — fuczy,
Któż ją tego uczy?

Kazimierz Ziejka.

LUDWIK ST. UNSING. (Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

VI.

Jak się wywiązał Annasz z przyrzeczenia.

Po odejściu, wybuchnął arcykapłan złośliwym śmiechem. Chodził po komnacie krewkimi krokami i monologował: — Ten ci wyjechał! Sługa i podnóżek waszej dostojności! Chcesz przecedzić przez palce Annasza, jak banan i tak go przyprawić, aby smakował dobrze gdzie należy! „Przebaczcie mu nawet to"— proszę! Nawet! Będę patrzał spokojnie gdy lada włóczęga rozbija się po świątyni, depce uświęcone zwyczaje, mnie poniża i wojuje ze szkołą! Młokos reformuje Zakon, utrzymany mądrością Zgromadzenia z rozkazu Jehowy, grozi tłumem, daje próbkę bandyckiego występu!... Nawet! Bo tak się podoba tyberjackiemu rządcy — a ja, to nic!

Znowu uchwycił muślin zawieszony u okna i wyjrzał.

Ci co unieśli z poturbowania całe głowy i kości uciekli z pod świątyni i oglądając się za siebie klęli i wygrażali. Panem placu i świątyni był lud. Nazarejczyk wyłonił się z wnętrza poważny, majestatyczny, a na wargach Annasza pojawił się skurcz nieopisanej wzgardy.

— To twoje ostatnie tryumfy: Chciałeś z nóg zwalić Annasza, a tymczasem tylko pamiątkowy ślad po tobie zostanie, dla tych co się ważą wejść w twoje ślady!

Wychylił głowę lepiej z okna, gdyż raptem cisza zapanowała. To ciężko chorych wnoszono na stopnie świątyni do stóp Nazarejczyka. Cała nędza ludzkiej niedoli była reprezentowana w tych kikunastu ludziach o powykręcanych stawach, wyschłych na patyk nogach, o wstrętnych cuchnących ranach, pustych oczodołach, o wyżartych policzkach i zniekształceniach różnego rodzaju.

Arcykapłan doznał wstrętu mimowolnego, o tem nawet nie myśląc. Tego rodzaju nędza mogła sobie istnieć gdzieś w tłumie po zaułkach, ale po co ją w świątyni? Dość miłosierdzia okazuje Zakon co dzień, nędzę tę wspierając z dziesięcin, nawet głośno, publicznie, ale dotykać ran cuchnących, kazić oczy skomlącem kalectwem — fe! Obrzydliwy włóczęga! Jak wstrętnie zdobywa zaufanie tłumu ten przeklęty zaprzaniec!...

— Złudzenie optyczne, czy co? — zapytuje sam bie syn Setha.

— Wyprostowują się pokręcone nogi, garby, oczy napełniają się światłem, rany przysychają, a tłum ryczy: — Hosanna Synowi Dawida! Cześć ci królu żydowski!

— Ha! Czas najwyższy temu zapobiec! — mruknął. Trochę chołoty postawić na nogi niewiadomo poco, a trzeszczą podstawy Sjonu! Czyjeż losy mają mnie obchodzić jeśli nie moje? Jaka korzyść przedstawia się dla mnie gdy włóczęga niemocny uzdrowion chodzi, a jakaż niekorzyść, gdy nie mogąc chodzić leży i żebrze? Komuż będziem czynić miłosierdzie jawne, gdy zabraknie nędzarzy chromych, oberwańców wstrętnych, liżących jak psy proch z moich sandałów!? Basta! Przeklętą jest magja, opętańcze praktyki tego Nazarejczyka! Kuglarstwo demonstrowane w obliczu ciemnej chołoty — i gdzie? Na stopniach świątyni, w progach mojego królestwa!

Zaśmiał się złowieszczo syn Setha, chodząc po komnacie.

— I pomyśleć, że wyłudził opiekę tyberjadzkiego rządcy, pokazując pazury, grozi majestatowi Sjonu! I mnie pośrednio, ba bezpośrednio nawet! Tyle czci, powagi i uczoności co zdobyłem w latach władztwa, jest w agonji, maleje Annasz, syn Setha, najsławetniejszy arcykapłan doby. Powiernik Tyberjusza Nerona.! Mam to wszystko pominąć, zmaleć do reszty, a tego włóczęgę odziać we własne szaty i stróżem miejsca świętego uczynić!

Uderzył się w czoło:

— Pocóż rozmyślam? Wszak mam go w rękach i jak jeszcze... Król żydowski! Jaki król? Toż to bunt wyraźny, przewrót polityczny, taran wymierzony przeciw imperatorowi!

Włożył urzędowy kołpak, poczem wsiadł do lektyki i zaniesionym został do Sanhedrynu.

Zdenerwowanie objawiło się w tłumie mędrców. Na fotelu siedział arcykapłan Kajafas i skubał brodę, w trybunach był nieład. Syn Setha opanował natychmiast sytuację, wchodząc na trybuny. Zgromadzenie w komplecie — zauważył.

— Odbieramy raporta dziejów dnia — rzekł Kajafas.

— Z zeznań mędrców wynika, że poważne niebezpieczeństwo zagraża władzy naszej, bunt rozszerza się w Judei i wrze Galilea. Nazarejczyk jest nieuchwytny, strzeżony pilnie, świadom naszego uczestnictwa w przebraniu między tłumem. Okazuje moc swoją tem, że pozwala bezkarnie krążyć i dociekać, choć jedno słowo wystarczyłoby, aby w proch zetrzeć niepowołanych. A ci niepowołani, to my! — powtarzam.

— Dowodzi, że z nas drwi! — mruknął Annasz — Ma protekcję sławetnego tetrarchy galilejskiego z naszego łona, a siłę ludu ze swego ramienia!

— To dosyć! — ozwały się głosy Sanhedrynu.

— Tak dosyć, aby był na śmierć skazan! — krzyknął Annasz.

— Teść mój dobrze mówi — wolno powiedział Kajafas — Rzym go oceni, naśle wojsko, a nam odbierze władzę i świątynię. To jest dość aby się nad tem zastanowić!

— Jakto zastanowić?! — bryzgnął w twarz zięcia Annasz. — Dziś, kiedy akcja w toku, ty mówisz o zastanowieniu się?

— Bo skazać na śmierć nie sztuka, ująć przestępcę gorzej.

— A właśnie, że będzie ujętym! Na ten cel ofiarowałem winnicę millońską. Ale co zrobić, gdy przyrzekłem puścić tego oberwańca?

— Sprawy Zakonu łamią przyrzeczenia — odezwali się Amoraim. Tetrarcha galilejski jest jeden, my idziemy w setki!

— Zatem wolno mi ująć ster sprawy? — Wolno ratować zagrożone położenie i jest to obowiązkiem świętym!

— Tedy powiedzieliście! — żywo chwycił Annasz.

Rozległo się trzykrotne uderzenie w gong. Arcykapłan zajął miejsce Kajafasa. Wygody i nadmierna otyłość odebrały temu subarycie potrzebną do walki energję i z radością ustąpił fotelu. Annasz zabrał głos:

— Sławetny zięć mój, rządzący arcykapłan Kajafas, sprawując rządy swe ku radości Jehowy i naszej, pamięta, że od lat dwudziestu odbywa się podkopywa-

nie władzy i świętokradzka działalność bezdomnego włóczęgi podejrzanego pochodzenia, rodzonego w Betlejemie nazarejczyka o podłem imieniu: Jezus.

— Tak, potwierdzam — rzekł Kajafas.

— Gdy regularnie składano daniny, lud czcił kapłaństwo i świątynia rosła w skarby, wichrzyciel ten podziemnym buntem przeciw nam i imperatorowi, powtarzam i m p e r a t o r o w i! zamulił ziemię pod stopami i spowodował zachwianie się fundamentów świątyni. Dziesięciny nie wpływają, zyskaliśmy miano obłudników i złodziei, co nawet rzucił nam w oczy sądzony zbrodzień Barabas! Czeka nas niedostatek i nędza, trzeba będzie rzucić pismo wam Amoraim,



Po tej mowie odbyło się głosowanie.

albowiem zginiecie z głodu i wam sędziowie, prawo, albowiem świętokradzko zostało zdeptane i nikt sądów naszych obawiać się nie będzie. We władztwie naszym, odbywa się kaptowanie ludu kuglarstwem, leczeniem i obłudnem wskrzeszaniem, aby zyskać moc tłumu, wywołać rozruchy, podbić imperjum i przepędzić prawowitych władców! A na stolicy zasiąść pragnie kuglarz, bezdomny włóczęga!

— Mowa twoja — ozwał się Kajafas — zgadza się z raportami doktorów kręcących się wśród tłumu w przebraniu. Raporta te zabrał nieobecny tu sędzia Zarabatel, dla publicznego oskarżenia i szczegółów dla imperatora.

— Sławetny sędzia Zarabatel najlepiej ocenił niebezpieczeństwo, nam zagrażające — wtrącił mowca, i mówił dalej:

— Uzdrawiając i wskrzeszając dobił się sławy nieśmiertelnego i stał się jako cysterna, z której czerpać można byt szczęśliwy, ani siejąc ni pracując. Upadają plantacje, zatraca się chów bydła z tej samej przyczyny, co grozi nietylko nam, ale także imperjum rzymskiemu — osłabia bowiem podatki i zniszczenie kraju objawiać się zaczyna. Dwadzieścia lat takiej działalności, to zaprawdę dość! Teraz, my winniśmy działać, a to tem, aby masy przekonać, że zbrodzień jest śmiertelny i sam siebie ni uzdrowić, ani wskrzesić nie mocen. Nie wszyscy może z was wiedzą, że wdarliśmy się w obóz tego burzyciela i znaleźliśmy piętę Achillesa, że Nazarejczyk Jezus, już wpadł w sidła nasze! Szczegółów przed uskutecznieniem całości wymieniać nie będę. Chodzi mi o to, aby w sądzeniu sprawy była zgodność i sprawiedliwy nacisk na zbrodniczą działalność przeciw imperjum rzymskiemu, aby tem spowodować podwójny wyrok śmierci: Za zgwałcenie i bunt przeciw Jehowie: złamanie szyji i za bunt przeciw imperjum: ukrzyżowanie. Wiadomem mi jest, że ramię galilejskiego tetrarchy sięgło w podwoje Ponckiego Piłata, ale naszą rzeczą będzie, podciąć te skwapliwe zabiegi!

Po tej mowie odbyło się głosowanie. Sześćdziesięciu dziewięciu członków obecnych w Sanhedrynie otrzymało po dwie gałki: białą i czarną. Białe gałki miały znaczenie sprzeciwu. Sześćdziesiąt dziewięć razy stuknęło o dno urny, poczem arcykapłan ogłosił wyrok: Sześćdziesiąt ośm czarnych! Jedna była białą.

Była to gałka arcykapłana Annasza...

VII.

Wypłata srebrników.

— Z wielu spraw życia najważniejszą jest ta, co daje możność zgromadzić majętność — dowodzi indywidjum z obandażowaną głową. Łysa czaszka tego indywidjum, mająca guz na potylicy, świeciła miejscami poprzez bandaże, a także broda dobrze spikonardem namaszczona, skutkiem tego bandaża, wygiętą była ku górze i sterczała jak wiecheć.

Ten, który słuchał tego dowodzenia był postawny, o nieco wygiętych plecach, miał gęstą, rozwichrzoną czuprynę bez feza, czerwony nos i jedno oko błyskliwe, zaś drugie w pół tylko otwarte i zaszłe bielmem.

— To jest prawda — odparł człowiek bez fezu. — Tylko, że nie każdemu do tego jest droga dostępna. Zagarnęliście już wszystkie drogi i wszystkie sposoby w naszych rękach.

— Mądrze mówisz bracie — prawił ten z obandażowaną głową. — Jaż przecie chcę tę drogę dla ciebie otworzyć i wsunąć ci w łapę te wszystkie sposoby. A jako ci już zdawna służę radą, i dobrze na nich wychodzisz, i dziś cię nie oszukuję także. Włóczęga po Galileji na zdrowie ci nie wyjdzie, a łatwo możesz kark pod katowską pałkę oddać, bo takie są czasy.

Przeszli zwolna brzegiem skalistego złomu, na którym opodal zawieszoną była kładka.

— Powiedz mi tedy — mówił ten z obadażowaną głową — czy wolisz dojść do majętności, czy też narazić się na przykry, a nieuniknioną los?

— Toż, pytanie zbyteczne: chcę zyskać i pewnie oprzeć nogi na takiej podstawie, aby nie runęła — odparł człowiek o wygiętych plecach. — A jako ci przyrzekłem uczynię.

— Tedy chodź za mną. Musisz to jeszcze powtórzyć na Radzie, a co ci tam odpowiedzą zgodzi się z twojem życzeniem.

Przeszli kładkę, poza którą ciągła się wąska ścieżynka ku piekłu i tylnym zabudowaniom świątyni.

— W tem tylko mam skrupuły co wy z nim zrobicie? Zbrodzień żaden nie jest, padłaby krew jego na mnie!

— A cóżbyśmy mieli zrobić, jeśli nie wygnać z ziemi żydowskiej, mój bracie? Toż pytanie dobre i skrupuły głupie! Ze zbrodzieniem inaczej się robi, gdy siła prawa jest w garści! Nie wiesz Judo co to jest Sanhedryn globu? Nie wiesz ile legij broni praw jego i jak się liczą z jego mocą?

— Wiem — przytaknął człowiek bez feza.

— Raczej lepsze dla niego będzie wygnanie, bo uniknie zguby, a przestanie buntować rzesze przeciw prawowiernym rządom. Ziomek nasz! Czy chciałbyś, aby został pogańskim wyrokiem uśmiercon i na dzióby kruków, a pośmiewisko ludu wystawion?

— Nie chcę — przecząco kiwnął głową Juda. — Wszelako wie on, że piłem twoje wino z En-Gaddi na jego zdradę, a mówiąc o tem, tak smutne miał oczy

i tyle w nich duszy, że nie mógłbym go wydać na śmierć. Dlatego żądałem pewności od ciebie.

— Na Radzie też ci to powtórzą co mówię: Nauczyciel twój nie zbrodzień, a tylko poskromić pragnie go Rada.

— Tedy niechbym zarobił, skoro tak.

Trzeba było przeskoczyć zawadzający cypel skalny, co udało się Judzie, ale obwiązany człowiek potknął się i upadł. Skutkiem tego upadku, zesunęła się część bandażu i okazała się opuchnięta, sina, a szeroka pręga przez wierzch głowy, ucho i policzek.

— A toż co? — zapytał Juda.

— Idąc wieczór, mgłą przez wąwóz, upadłem tak niefortunnie mój bracie — tłumaczył człowiek, cokolwiek załamującym się głosem. — To boli. A teraz, omal żem oczu nie postradał.

— Nauczyciel mój, szybko takie rzeczy uzdrawia, rzekł Juda z westchnieniem.

— Nic to, uzdrowi się samo, jakby nie było i bez cudu — mruknął potłuczony. — Ot tym skrętem przejdziem, na tajemne wejście, abyś się nie potrzebował obawiać nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Imieniny pana Alojzego.

(Humoreska.)

Z hałasem rozwarły się drzwi.

Pani Balbina, matka czterech córek i tyluż synów, wypuściła z rąk jakąś zaczętą robotę — i zaniemówiła. Wyraz twarzy wskazywał, że tym razem naprawdę nie mogła wykrztusić ani jednego słowa. Dopiero po małej chwili wyjąkała:

— Paaanno Donio... co się stało?

— Przepraszam... — wyrzuciła ze siebie zaperzona panna Domicela, siostra swego brata, pana Alojzego, zamieszkującego górne apartamenta, znajdujące się na pierwszem piętrze — tuż nad mieszkaniem pani Balbiny, wdowy do człowieku „ze stanowiska“, a matki czworga par dzieci.

— Co pani jest, panno Donio?... Prawdę mówiąc — to pani do twarzy w tych kolorach... Jakby umalowana... Słowo daję, że do twarzy. Musiało się coś stać, bo zwyczajnie... Ale niechże pani coś mówi! Czy może brat zachorował? Pewnie coś zjadł niezdrowego... A co pani miała na obiad?

— Żeby to chociaż co jadł!...

— Już nawet jeść nie może? O, to nic dobrego; trzeba zaraz posłać po lekarza, a może także po księdza, jak pani myśli?

— Myślę, że ani ksiądz, ani lekarz nic bratu nie pomogą.

— Umarł? Tak nagle? A my tu nic... o niczem...

Panna Donia wybuchnęła wściekłym śmiechem.

— Ani nie umarł, ani nie zjadł niezdrowego obiadu, gdyż wcale na obiad nie przyszedł. Już piąta godzina, a jego jeszcze niema. O pierwszej wyszedł z urzędu.

— Może ma jakąś pracę — rzekła znacznie spokojniejszym tonem pani Balbina.

— O, on ma pracę... wszyscy wiedzą gdzie i jaką... Tam, gdzie kieliszki przygrywają. Mówię pani, że...

— Jakżeż tak zaraz posądzać, panno Donio! Przecież wszyscy wiemy, że pan Alojzy jest porządnym człowiekiem, jakich dziś szukać ze świecą. Jako kawaler mógłby sobie na więcej pozwolić, a i wtedy nikt by mu tego nie brał za złe. Takich ludzi, moja pani, to uzłocić. Wszyscy tak mówią, nawet moje córki. Zaś moje córki znają się na ludziach — co każdy przyzna.

— Niech sobie tam ludzie mówią co chcą, kiedy ja do tych „wszystkich“ nie należę. Mnie oczu byle czem zamydlić nie można. Oho! zaraz się poznam. Głupia jestem, żem tak długo czekała z obiadem. Na drugi raz będę mądrzejsza: jeśli go na drugą nie będzie w domu, obiad wyrzucę do pomyj. Niech potem żre ze świnią, kiedy sam się nią staje.

— Wie chociaż pani napewno, że brat w knajpie?

— Mówiłabym to po próżnicy? Wiem dobrze gdzie jest. Dzieci Antoniowej widziały, gdy szły ze szkoły, jak brat z kolegami wchodził do Postronka.Siedzi tam teraz i do rana będzie siedział — mówię pani... A ja głupia jeszczem czekała!...

— A choćby... Na to jest kawalerem, żeby użyć wolności. Darmo się tylko pani irytuje; niech pani to zostawi dla jego przyszłej żony.

— Tak, ale co ludzie... jeszcze mnie...

— Gdzież tam coś podobnego! Jeszczem nie słyszała, żeby się ktoś odważył na brata lub na panią, panno Donio, marne słowo powiedzieć. Słowo najświętsze daję. A taki przypadek każdemu zdarzyć się może Niech pani, panno Donio, będzie spokojna; brat wróci...

— Pewnie, że wróci... tyle wiem... ale kiedy?

— No, no, już on ma swój rozum. Pani nie powinna go strofować, bo jest starszym, a powtóre — daje pani utrzymanie i zastępuje ojca.

— Utrzymanie?... łatwo pani mówić! Ale za co jest to utrzymanie; czy może zadarmo? Ręce zdarłam..

— Tak, pani gospodarzy, lecz dla wspólnego dobra, dla własnej przyszłości. Wiadomo, że brat całkiem poważnie myśli o zabezpieczeniu jutra dla pani. Należy mu się wdzięczność, bo mało jest dziś braci, którzyby tak dbali o swoje siostry. Nie pomyliłam się wcale, gdym swoim dzieciom mówiła: Pamiętajcie sobie, że pan Alojzy „z góry“ — to perła wśród dzisiejszej młodzieży, perła!

Panna Domicela, nie chcąc słuchać więcej morałów, zaczęła biegać po pokoju, zaczerwieniona aż po uszy, na które spadały rozwichrzone włosy.

— Rozumie się — „perła“... A niech już będzie tą perłą, żeby tylko jaknajprędzej wrócił. Zresztą... czym ja rozum straciła? Nie, nie! niech nie wraca. Zamknę drzwi, nie wpuszczę.

Pani Balbinie przywidziało się, że słyszała na górze jakiś stukot. Pewnie przyszedł...

— Nie pójdę — zawyrokowała panna Domicela, wciskając się w róg kanapy. — Wyrzucajcie mię stąd, a ja się i tak nie ruszę. Niech sobie robi, co chce, nic mię nie obchodzi. Wystarczy, że czekałam pięć godzin. Nie pójdę. Niech kto inny robi po nim porządki...

Zapadła w plusz kanapy i zatkała tragicznym gestem oczy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Atmosfera stawała się coraz gęstsza, cięższa i wprost niemożliwa do zniesienia. Ściany i sufit „lepszej“ sali w podrzędnej restauracji podrzędnej mieściny zaczęły się wyginać i prężyć w kurzawie dymu.

Na stole stały jeszcze flaszki, w większości próżne, a rozlany płyn szklił się, niczem czoła podochoconych przyjaciół.

Raz po raz nachylał któryś flaszkę, sącząc z niej do chwiejącego się kielicha resztki boskiego napoju.

— Hej, stary na... na twoje!

— Na zdrowie, Alojzy! żebyś się z kopytami dowlókł szczęśliwie i cało... cało — mówię... cało do następnych imienin...

— Żebyś... e, co tam gadać za wiele. Za twoje i nasze!

— „Za sto lat nie będzie nas"... A to ci kanalja... już próżna. Czemu mi podsuwacie próżne flaszki? Na bok dziś żarty! Lejże się, bo jak cię ścisnę, to ze szkła wypuścisz.

— Chłopcy, do domu! Zapomnieliście, że jutro rewizja biura?

— Głupstwo! Moje życie... te, moje biuro mogą codnia rewidować; wszystko w porządku.

— Alojzego jest do samej północy — nie dam się ukrzywdzić. Patrzcie, temu się biuro przyśniło.

— „Za sto lat..."

— Nie darłbyś się po próżnicy! Już pierwsza...

— A, co — pilno ci? Przyznaj się, chłopaczku, do kogo? He, he! złapałeś się. No, tym razem, ze względu na dzisiejszy dzień, jeszcze ci ujdzie płazem. Na drugi raz nie wspominaj o „pierwszej".

— Co nam do twoich spraw osobistych.

Około drugiej nad ranem zadymiona sala opróżniła się zupełnie. Koledzy jeszcze raz złożyli Alojzemu życzenia, na uciechę solenizantowi a na przekór nowemu patronowi, którego dzień był się już rozpoczął.

Świtało.

Pan Alojzy podążał spiesznie ku domowi, czując się mocno zmęczonym. W głowie mu niezbyt szumiało, bowiem przy takich uroczystościach pamięta się zwykle więcej o drugich niż o sobie. Był więc prawie trzeźwym, a tylko zmęczenie kleiło mu powieki i schylało głowę ku ziemi.

Był już blisko swego domu.

Naraz zobaczył jakąś postać, spierającą się o płot. Podszedł bliżej. — Aby cię... pomyślał szczerze. Był to bowiem jego kolega, z którym się pożegnał przed chwilą.

— A ty co? zamroczyło cię?

Na odpowiedź otrzymał jakieś niezrozumiałe zrzędzenie. Zatem wziął go pod ramię i powlókł w stronę mieszkania, które — jakby na ironję — znajdowało się w znacznem oddaleniu. Alojzy zaklął zcicha, jednakże obowiązek względem kolegi nie uląkł się tej słownej pogróżki, czując za sobą prawdopodobnie jakieś oparcie.

— Stawiajże jakoś te kroki! Przecież na plecy cię nie wezmę...

Dowlekli się do zakrętu ulicy, skąd zawiał ostry wiatr. Przyjaciel Alojzego zaczął wracać do świadomości. Czuł, że go ktoś prowadzi, lecz nie wiedział — kto. Spojrzał przed siebie: było mroczno. Z jakiejś nowej podniety zaczął się szarpać i wykrzykiwać:

— Coś ty za jeden? coś ty za...

— Cicho!

— Ja cię się pytam: coś ty za jeden? Nie znam cię przecież. Gdzie ty mię prowadzisz?

— Dajże spokój!...

— Co znaczy spokój!... Ja się pytam: ktoś ty jest? Powiesz, lub nie? Inaczej — nie pójdę dalej. Gdzie mi tak rękę wpychasz? A, wiem: namówili cię, żebyś mię okradł... Chcesz mię więc okraść, złodziejem jesteś, mordercą... Prowadzisz gdzieś w zaułki, aby mię zamordować. Wiem...

Począł się jeszcze bardziej szarpać i wydzierać Na szczęście zaczął zlekka deszcz kropić. To go otrzeźwiło.

— Alojzy! mój jedyny! ty ze mną? Chciało ci się trudzić? Ale... co ja to mówiłem przed chwilą? Jakoś mi się zdaje...

— Drobnostka. Nic nie mówiłeś. Patrz, jesteś przed domem.

— A ty musisz wracać do siebie... taki kawał?

— Muszę, bo siostra byłaby niespokojna.

W kwadrans potem dopadł Alojzy własnych schodów, radując się, że wreszcie będzie mógł rozłożyć utrudzone członki.

Potrząsł lekko klamką. Odpowiedziało surowe echo pustego przedpokoju. Potrząsł raz i drugi — nic. Zaczął się denerwować. W miarę tego zaczął coraz mocniej stukać ręką, laską, to wreszcie butem. Nic.

— Ależ śpi twardo...

Zeszedł na ulicę pod okno siostry. Stąd zaczął rzucać małe grudki ziemi, kupki piasku, a wreszcie — gdy wszystko zawiodło — kamyki, coraz to większej wielkości. Wszystko to, spadając na szyby, czyniło rwetes, brzęczenie, ale na tem koniec. Dopiero, gdy jedna szyba pękła z łoskotem, rozlatując się w kawałki, raczyła się ukazać w drugiem oknie postać panny Domiceli; była niby to rozespana i mocno zdziwiona.

— Co to za rozbój po nocach?... Ach, to ty!... Myślałam...

Reszta sceny odbyła się już w mieszkaniu pana Alojzego, solenizanta i „perły" młodzieży. Warto zaznaczyć, że pierwszą czynnością jego było umycie twarzy, skaleczonej odłamkiem szkła.

W niedługi czas potem rozpowiadała pani Balbina, że odkąd panna Donia ma narzeczonego, odtąd wcale nie narzeka i nie złości się, choć z obiadem dla brata musi nieraz do następnego dnia czekać. Także pani Balbina, poznawszy oziębłość pana Alojzego względem jej córek, postanowiła zmienić swe zapatrywania co do „perły" młodzieży. *Wu-Wu.*



Poradnik gospodarczy.

Co zawiera projekt budżetu Ministerstwa rolnictwa.

Corocznie zawiera budżet Ministerstwa rolnictwa pewne pozycje pieniężne na poparcie rolnictwa. W roku 1928 projektowane są następujące pozycje:

1. Zasiłki na popieranie rolnictwa — 4,680.000 zł., które mają służyć na poparcie działalności dobrowolnych organizacyj rolniczych, izb rolniczych, związków spółdzielczych i samorządów terytorjalnych, ogrodnictwa, meljoracyj rolnych, organizacyj drobnych gospodarstw, wystaw i pokazów, wydawnictw fachowych, doświadczeń rolniczych, ochrony roślin, zwalczania chorób i szkodników roślinnych.

2. Stypedja i zasiłki na badania naukowe — 250.000 zł.

3. Zasiłki na popieranie meljoracyj rolnych — 3,000.000 zł. Pozycja 1. Na ulgi przy realizowaniu pożyczek meljoracyjnych 2,500.000 zł. Pozycja 2. Zapomogi dla spółek wodnych 500.000 zł.

4. Zasiłki i pożyczki na popieranie specjalnych gałęzi wytwórczości rolnej — 1,400.000 zł. Kwota ta jest przeznaczona na poparcie specjalnych gałęzi wytwórczości roślinnej i związanych z niemi gałęzi przemysłu, które mają w Polsce szczególnie korzystne wa-

runki rozwoju, a które dotąd stoją na niskim poziomie, a mianowicie na zakładanie łąk i pastwisk, hodowlę nasion traw szlachetnych, szkółkarstwo, sadownictwo, przetwórstwo owocowe i warzywne, kwiaciarstwo, oraz nasiennictwo warzywne, zakładanie chmielników i budowę suszarń chmielu, zakładanie plantacyj wikliny i budowę korowalni, budowę suszarni i międlarni lnu, oraz uprawę i suszenie roślin leczniczych.

5. Zasiłki i inne wydatki na zwalczanie szkodników i chorób roślin — 150.000 zł. W akcji zwalczania chorób roślin na plan pierwszy wysuwa się walka z rakiem ziemniaczanym, chwościkiem na burakach i rzekomym mączniakiem na chmielu. Walka ta wymaga zorganizowania służby ochrony roślin, nabycia potrzebnych aparatów, umożliwienia zagrożonym gospodarstwom zaopatrzenia się w ziemniaki odporne na raka ziemniaczanego i t. p.

6. Zasiłki, pożyczki i inne wydatki na podniesienie hodowli, oraz rybactwa — 7,000.000 zł. Zasiłki dla Izb rolniczych, społecznych organizacyj i instytucyj rolniczych, zaś pożyczki na zakup materjału hodowlanego, na organizację zbytu inwentarza żywego i jego produktów, a mianowicie na przemysł mleczarski, zakończenie budowy i uruchomienie rolniczych rzeźni eksportowych, urządzenie chłodni, na organizację zbytu jaj, masła i t. p., na uprawę pastwisk, na podniesienie gospodarstw rybnych i inwestycje rybackie.

7. Zasiłki i inne wydatki na popieranie hodowli koni — 845.880 zł. Suma ta dzieli się: 1) zasiłki na popieranie hodowli koni — 445.880 zł.; 2) nadzór państwowy nad ogierami i rejestracja klaczy zarodowych 100.000 zł.; 3) premjowanie ogierów 300.000 zł.

8. Zasiłki na cele weterynaryjne — 32.000 zł. Zasiłki na walkę z gruźlicą u bydła rogatego, na kursy kucia koni, na popieranie fachowych wydawnictw, stypendja dla słuchaczy uczelni weterynaryjnych i na studja naukowe zagranicą, oraz inne zasiłki na cele weterynaryjne.

9. Zasiłki i inne wydatki na popieranie leśnictwa — 755.000 zł.

10. Zwalczanie chorób zaraźliwych — 4,000.000 zł. Przewiduje się wypłacenie odszkodowania za 2.000 koni z powodu nosacizny, za 500 sztuk bydła z powodu zarazy płucnej, oraz za 3.000 sztuk drobiu i 3.730 sztuk zwierząt, zabitych lub padłych z powodu innych chorób zaraźliwych.

Razem na poparcie rolnictwa ma budżet **22,112.880** złotych.

Poradnik lekarski.

Puchlina szyji. Choroba ta powstaje zwykle epidemicznie, rzadziej pojedynczo jako zapalenie ślinnego gruczołu usznego czyli ślinianki przyusznej, która, z wyjątkiem pierwszych lat życia, występuje u dzieci, a często także i u dorosłych. Objawy: zniekształcająca jednostronna lub dwustronna puchlina ślinianki przyusznej — puchlina ta rozrasta się dalej i jest bolesną; dolegliwości w połykaniu, mówieniu i żuciu, ból głowy, bezsenność, znużenie, zły smak, zakłócony apetyt i lekka gorączka. Leczenie: chłodne kompresy (okłady) na miejscu opuchniętem aż do ocieplenia, letnie opakowania brzucha i łydek ze zmianą co dwie godziny, kąpiele nożne ku usunięciu zimnych nóg, kąpiel parowa w łóżku, gorące okłady na gruczoł, wypłókiwanie gardła wodą cytrynową i staranie się o wypróżnienie kiszek. Szczególnie polecenia godne są okłady papką, zrobioną z lnianego siemienia, lub parowanie gorącą herbatą rumiankową.

KRONIKA.

Dar dla Marszałka Piłsudskiego. Z Warszawy donoszą: Do Belwederu zgłosił się przedstawiciel kolonji polskiej w Chinach, p. Jerzy Moszkowski z Szanghaju, przynosząc dla Marsz. Piłsudskiego dar Polaków, przebywających w Szanghaju. Kolonja polska w Szanghaju, korzystając z podróży p. Moszkowskiego do Ojczyzny, poleciła mu, aby ten dar rodaków z dalekiej obczyzny wręczył osobiście Marszałkowi Piłsudskiemu.

Walka z bandytami w Borysławiu. W zagłębiu naftowem Borysław wydarzyły się dwa krwawe epizody w walce z grasującymi tam bandytami. Najpierw posterunkowy Mikołaj Januszkiewicz przytrzymał niebezpiecznego złodzieja, kilkakrotnie karanego, Franciszka Skrzypka, zamieszkałego w Wolance. W czasie, gdy Januszkiewicz eskortował złodzieja, ten rzucił się na niego i usiłował go rozbroić. Wobec tego Januszkiewicz użył białej broni i pchnął Skrzypka bagnetem w szyję, w następstwie czego ten w kilka minut później zakończył życie. Równocześnie drugi posterunkowy, Józef Seibel, ścigał znanego bandytę, Mieczysława Musińskiego, zamieszkałego w Bani Kotowskiej. W czasie pościgu Musiński strzelił do posterunkowego Seibla, którego kula trafiła w podbrzusze. Ciężko ranny Seibel nie mógł już dalej ścigać Musińskiego, toteż on zbiegł w niewiadomym kierunku. Rannego posterunkowego przewieziono do szpitala, zaś za Musińskim zarządzono specjalną obławę policyjną.

Śmierć z głodu na pieniądzach. W Łodzi, w domu przy ul. Miedzianej, skonstatowano niezwykły wypadek. W izbie, zamieszkanej przez dwoje staruszków Banachów, znaleziono samego Banacha już bez życia, a 70 letnią żonę jego w agonji. Badanie lekarskie stwierdziło, że Banach zmarł wskutek wycieńczenia z głodu, żonie zaś jego grozi również śmierć z tego samego powodu. Charakterystyczny jest przytem fakt, że w sienniku, na którym Banachowie sypiali, schowany był woreczek ze znaczną ilością złotych monet rosyjskich, ponadto Banachowa miała ukrytych na piersi 30 złotych, które otrzymała przed kilku dniami z Wydziału opieki społecznej. Pieniądze te oddano do depozytu, a zmarłego Banacha przewieziono do prosektorjum medycyny sądowej.

Napad na dwór. W Rozbitku w powiecie międzychodzkim w sobotę wieczorem zajechał samochód przed pałac właściciela ziemskiego p. Reicha. Z samochodu wysiadło kilku uzbrojonych ludzi, którzy zaczęli gwałtownie dobijać się do drzwi. Ponieważ ich nie wpuszczono, spróbowali włamać się przez okno. Zaskoczyła ich przy tem policja, przywołana telefonicznie przez mieszkańców oblężonego domu. Szofer będący z bandytami w zmowie, został zatrzymany razem z samochodem, bandyci zaś rzucili się do ucieczki, ostrzeliwując się gęsto ścigającym ich policjantom. Policji jednak udało się przeciąć im drogę tak, że tylko jeden bandyta zdołał umknąć. Jeden z bandytów, Stefan Skąpski, otrzymał podczas walki śmiertelny postrzał i zmarł wkrótce. Dwóch bandytów, w tem Kazimierza Ziętaka ujęto i razem z szoferem odstawiono do więzienia w Poznaniu.

Ręka ofiary wskazuje mordercę. Policja pow. łuckiego powiadomiona została przez mieszkańców wsi Smerdyń, że w ogrodzie bogatego Rosjanina, właściciela 300 dziesięcin ziemi Grzegorza Pinzuły wystaje z ziemi ręka ludzka. Przeprowadzona rewizja wykazała prawdziwość tej pogłoski. albowiem odnaleziono wystające z pod stopniałego śniegu kości ludzkiej ręki. Po rozkopaniu tego miejsca, zebranym przedstawił się straszny widok: pod cienką warstwą ziemi znajdowały się zwło-

ki kobiety podległe już całkowitemu rozkładowi. Znalezione zwłoki mimo ich stanu udało się zidentyfikować z osobą niejakiej Skrypniukowej, kochanki Pinzuły, która w lipcu 1925 r. znikła nagle ze wsi. Wówczas już podejrzenie o zbradnię padło na Pinzułę i został on aresztowany i sprawa ta rozpatrywana była następnego roku przez sąd okręgowy, który Pinzułę dla braku dowodów z pod zarzutu zbrodni uwolnił. Obecnie zbrodniarz przyznał się do popełnienia morderstwa na osobie Marusi Skrypniukowej, przyczem wyszły na jaw ciekawe szczegóły, poprzedzające ten zbrodniczy czyn. Grzegorz Pinzuła, będąc oficerem armji bolszewickiej, popełnił w r. 1924 jakąś defraudację i został uwięziony. W więzieniu nawiązuje on stosunek miłosny z córką naczelnika więzienia bolszewickiego Skrypniukową, która ułatwia mu ucieczkę do Polski i ucieka wraz z nim. Przybywszy do majątku Pinzuły Skrypniukowa nalega, żeby Pinzuła się z nią ożenił i wkrótce na tem tle powstają pomiędzy kochankiem a starszą od niego o 10 lat kochanką ciągłe kłótnie i nieporozumienia. Pinzuła proponuje swej wybawczyni dom i kilkanaście dziesięcin ziemi tytułem odczepnego, ta jednak nie zgadza się. — I oto pewnego dnia podczas awantury Pinzuła, będąc w stanie pijanym, zastrzelił Skrypniukową, poczem w nocy trupa jej zakopał w ogrodzie. Zabójcę aresztowano i osadzono w więzieniu.

Śmierć kapłana na ambonie. Z Opola na Górnym Śląsku donoszą: W kościele katolickim w Lindenau miał onegdaj miejsce smutny wypadek. Gdy podczas Mszy św. ks. dziekan Wenzke wszedł na ambonę, by wygłosić kazanie, został nagle tknięty paraliżem. Nieszczęśliwy kapłan w kilka godzin potem zmarł.

Skarb w trumnie. Niedawno temu pepełniono w Budapeszcie znaczną kradzież z włamaniem, a mianowicie skradziono pewnemu złotnikowi większą ilość kosztowności, których cena szła w tysiące. Pomimo, że złoczyńca wpadł na doskonały pomysł ukrycia ich, policja zdoła tak zbrodniarza, jak i skarby odszukać.



Złodziej wynosił kosztowności na cmentarz i tam je ukrywał w trumnie, w grobowcu, w której spoczywające zwłoki już dawno w proch się przemieniły. Policja znalazła tam wszystkie skradzione kosztowności, a oprócz tego wiele innych cennych rzeczy.

Między życiem i śmiercią. Z Wiednia donoszą: Kolej lokalna, wioząca wycieczkowców na przestrzeni Hütteldorf-Purkensdorf omal że nie pogrzebała pod sobą swoich pasażerów. O kilometr od stacji Hütteldorf, jeszcze w obrębie dworca kolejowego, nastąpiło nagłe wykolejenie. Wagon przedni, popychany przez jadącą za nim lokomotywę, wyskoczył z szyn, obalił rampę kolejową i błyskawicznie zaczął staczać się z bardzo wysokiego, pagórkowatego nasypu na dno rzeczki Wiedenki. Na szczęście miękki, niedawno rozkopany teren uwięził w ostatniej chwili koła wagonu, który w przeciwnym razie niechybnie musiałby oderwać się od lokomotywy i spadając, spowodować ciężkie poranienia, a może i śmierć ponad stu pasażerów. Panika jadących, przeważnie wycieczkowców, przybrała katastrofalne rozmiary: publiczność w śmiertelnym strachu, widząc się nad przepaścią, wyskakiwała drzwiami i oknami. Nie obeszło się bez poranienia, kilkunastu zemdleń i kilku poważnych wstrząsów nerwowych. Przyczyny katastrofy narazie nie zdołano ustalić.

Ofiara zabobonu. Cała inteligencja włoska poruszona jest do żywego tragiczną śmiercią młodego o wybitnych zdolnościach sędziego R. Leone, który padł ofiarą tak zwanego uroczego oka. Nie znaczy to, aby zmarły zakończył tragiczną śmiercią, którą sprowadziło nań urzeczenie przez „złe oko", przeciwnie — przyczyną jego samobójstwa była rozszerzana o nim wieść, iż sam on jest „Jettatore", posiadającym moc sprowadzania nieszczęścia na tego, na kogo padnie wzrok jego urocznego oka. Wiara w złe oko nigdzie nie jest tak wkorzeniona, jak w południowych Włoszech. Człowiek, posiadający opinję „Jettatore", gdy będzie kupcem, zostanie doprowadzony do bankructwa, lekarz nie będzie miał pacjentów, adwokat straci klijentelę. Wieść tę po raz pierwszy rozgłosił o zmarłym sędzi członek rozbójniczej bandy „Mafji". Gdy stanął on przed obliczem sądu, w skład którego wchodził także zmarły, oświadczył, że nie będzie składał zeznań przed tym kompletem, albowiem sędzia R. Leone posiada „uroczne oko". Rozumie się, że został on, mimo to oświadczenie, skazany podług prawa, ale echo tego rozniosło się natychmiast po całej Sycylji i zmusiło sędziego nietylko do zerwania z narzeczoną, córką bogatego miejscowego kupca, ale do postarania się wogóle o przeniesienie służbowe. Przeniesiono go do małego miasteczka w pobliżu Turynu, ale nieszczęsna pogłoska i tam trafiła za nim: ogłoszono przeciw niemu formalny bojkot. Sędzia poprosił znowu o przesiesienie go i prośba jego została uwzględniona. Ale po krótkim czasie Leone znalazł się w tej samej okropnej sytuacji na swem nowem stanowisku. Gdy więc zjawiał się w cukierni, goście pospiesznie płacili rachunki i opuszczali lokal. W teatrze odmawiano mu sprzedaży biletu, bojąc się, że wypłoszy publiczność, albo sprowadzi jakąś katastrofę w teatrze czy na scenie. I oto dnia pewnego służąca znalazła go w sypialni martwego z przestrzeloną skronią. Chociaż nie pozostawił on żadnych pożegnalnych listów, ale ze zwierzeń poczynionych na kilka dni przed śmiercią swym nielicznym przyjaciołom, wynika, że nieszczęśliwy zakończył śmiercią samobójczą, gdyż nie starczyło mu już sił na walkę z powszechnie panującym zabobonem, który mu zatruwał na każdym kroku życie.

Katastrofalne trzęsienia ziemi. Koniec kwietnia zaznaczył się na półwyspie Bałkańskim silnemi trzęsieniami ziemi. Pierwsze ofiarą trzęsienia padło bułgarkie miasto Filipopol, które zniknęło niemal z powierzchni ziemi, z 60-tysięcznego miasta pozostały bowiem tylko gruzy. Wstrząśnienia ziemi powtarzały się kilkakrotnie, burząc wiele domów w okolicznych wsiach. Na szczęście strat w ludziach nie było zbyt wielkich, gdyż ci pouciekali zawczasu z walących się domów. Zginęło około 20 osób, rany odniosło ponad 100.

Jeszcze nie przebrzmiały echa katastrofy w Bułgarji, gdy nadeszły wiadomości o trzęsieniu ziemi na półwyspie greckim Peloponezie. Tu znów miasto Korynt legło w gruzach. Trzęsienie ziemi nie pociągnęło za sobą większych ofiar w ludziach dzięki temu, iż pierwsze wstrząsy były słabsze. Przestraszona ludność wybiegła

z domów w panicznym popłochu i obozowała tuż pod gołem niebem, gdy nastąpiły dalsze tak gwałtowne wstrząsy, iż prawie wszystkie domy w Koryncie zostały zburzone. Budynki, które nie zawaliły się, są poważnie uszkodzone. W całem mieście niema ani jednego domu, któryby nadawał się do zamieszkiwania. Gmach więzienny jest zburzony. Więźniowie zbiegli albo zginęli pod gruzami. Ludność obozuje pod gołem niebem i w panicznym nastroju oczekuje dalszych wstrząśnień ziemi. W samym Koryncie 10.000 ludzi jest pozbawionych dachu. W innych miejscowościach trzęsienie ziemi pozbawiło dachu nad głową około 6.000 ludzi. Największe spustoszenia poza Koryntem wyrządziła katastrofa w miejscowości Isthmia i Lutraki. W Kokononie runęło 25 domów. Żołnierze w koszarach Koryntu w znacznej liczbie stali się ofiarami katastrofy, gdyż dom koszarowy się zawalił w chwili, gdy żołnierze tam byli obecni. Cała katastrofa odbyła się wśród przerażającego huku walących się domów i okrzyków przerażenia ludności, wśród której panuje wielka nędza.



Częste trzęsienia ziemi w południowych krajach szczególniej we Włoszech w miastach Messynie i Reggio, w których w r. 1908 w samej Messynie zginęło 82.000 osób zmusiły ludność do budowania sobie bezpieczniejszych domów niskich, drewnianych. Ponieważ tam zimy niema i ciepło jest przez cały rok, domki są nawpół otwarte, podobne do altan. Jedną taką ulicę przedstawia nasz obrazek.

Wstrząsające odkrycie. We wsi Chevreny we Francji dokonano wstrząsającego odkrycia z czasów wielkiej wojny. Podczas oczyszczania piwnicy w jednym domu natrafiono na wejście do dawnego okopu strzeleckiego, w którym znaleziono szkielety 50 żołnierzy niemieckich w takim stanie, w jakim zostali zasypani prawdopodobnie na skutek wybuchu granatu. Jedni z żołnierzy siedzieli przy stole z kartami w ręku, inni znów leżeli na pryczach i t. d.

Klub samobójców. Z Berlina piszą, iż w lesie koło Berlina zastrzelił się student rosyjski wraz ze swą koleżanką, w obecności ich przyjaciółek. Śledztwo policji berlińskiej wykazało, iż dwie ofiary były członkami rosyjskiego klubu, którego wszyscy członkowie postanowili popełnić samobójstwo.

Niezwykły wypadek. W zeszłym tygodniu w Hanowerze odbył się ślub dwojga młodych ludzi. Narzeczeni wraz z rodzinami znaleźli się przy ołtarzu. Ksiądz miał rozpocząć odbieranie przysięgi, kiedy naraz młoda panna odczuła nieprzezwyciężoną chęć ziewania. Walczyła przez chwilę z tym pewnego rodzaju atakiem, ale w końcu, nie będąc w stanie się przemódz, ziewnęła tak silnie, że następnie szczęki nie mogły się zamknąć. Zwrócono się o pomoc do lekarza. Po kilku odpowiednich naciśnieniach udało się lekarzowi wyzwolić nieszczęśliwą z niezmiernie przykrej sytuacji. Niestety — ślub nie odbył się i nie odbędzie się wogóle. Oblubieniec zniknął, pozostawiwszy list, w którym oświadczył, że nie chce się żenić z kobietą, zdolną ziewać podczas zawierania małżeństwa.

Śmierć pod lawiną. Donoszą z Sant Jago de Chile, iż lawina śnieżna w okolicach Talca zasypała liczne osady. Zginęło sto kilkadziesiąt osób i wielka ilość bydła. Niektóre osiedla uległy doszczętnie zniszczeniu.

Piorun w kościele. Z Bombaju donoszą: Piorun uderzył w mały wiejski kościół w połudn. Indjach, w którym się właśnie odbywała Msza. Ksiądz przy ołtarzu stracił przytomność, a kiedy przyszedł do siebie, ujrzał pięciu swoich parafjan zabitych a 30 poważnie rannych odłamkami muru i szkła.

Nowa ziemia na oceanie. W Halle (w Saksonji) słynny geolog niemiecki, prof. Dr Colsche wygłosił wykład, który w obecnej chwili jest szczególnie aktualnym, albowiem znaczna część przewidywań uczonego spełniła się w niespełna dwa miesiące. Dr Bolsche, podobnie zresztą jak słynny Włoch Rafael Bendandi, twierdzi, że ludzkość stoi w przededniu nowej ery rozwoju, a ziemia wchodzi w okres nowego życia. Badania oceanu Atlantyckiego każą przypuszczać, iż wyłoni się niebawem z wód nowy ląd, odgraniczony od morza olbrzymim pasmem gór. Być może więc, iż jeszcze dożyją współcześni ludzie tej chwili, że podróżować będą do Ameryki zwykłemi pociągami po stałym lądzie. Wedle twierdzeń prof. Bolschego do tej chwili trwa na ziemi tak zwany okres lodowcowy, gdyż olbrzymie połacie naszej planety pokryte są wiecznemi śniegami. Okres ten rychło się już skończy, a martwe obecnie krainy zbudzą się z długiego snu i zakwitnie na nich bujne życie. Równocześnie podniesie się znacznie temperatura ziemi i rozpocznie nowy okres, tak zwany — gorący. Nie zagraża on wcale obecnie panującemu życiu na naszej planecie, owszem, wzmoże je jeszcze i uczyni bujniejszem. Te przemiany nie obejdą się jednak bez poważnych katastrof. Prof. Bolsche przewidział najdokładniej kierunek trzęsień ziemi, które obecnie nawiedziły południowo-wschodnią Europę, Azję i Meksyk, Alaskę i Daleki Wschód. Nieszczęścia, które spadają obecnie na ziemię, zależne są — zdaniem prof. Bolsche — od plam na słońcu i planecie Jupitrze, a niesamowite zmaganie się wiosny z zimą jest jednym z licznych objawów wielkich przemian na ziemi, które wypadną na korzyść ludzkości.

Srebrne wesele miljonera. Miljoner nazwiskiem Walter A. May z Pittsburga postanowił obchodzić swe srebrne wesele 25 kwietnia b. r. w gronie najbliższych przyjaciół. Ponieważ jednak od kilku miesięcy przebywa z żoną w Europie i nie ma zamiaru do Ameryki wracać, zaprosił ich, by na oznaczony dzień przybyli do Paryża, obowiązując się pokryć wszelkie związane z wyjazdem i padróżą wydatki. Zaproszeni goście w liczbie 571 osób wyruszyli 18 kwietnia na pokładzie luksusowego statku „Aquitania“, a opuszczą Francję 15 maja. Niewielu mieszkańców „zbiedniałej Europy“ mogłoby sobie pozwolić na fantazję p. May'a, który dorobił się olbrzymiej fortuny na sprzedaży środków leczniczych.

Dobra kara. Pewien woźnica z Wakefield, w stanie Massachusets, pociągnięty do odpowiedzialności za okrucieństwo i nieludzkie obchodzenie się z koniem, skazany został przez sąd powiatowy na spędzenie dwóch nocy w stajni na miejscu konia, który przez ten czas wypuszczony został dla wypoczynku na pastwisko. Czy w razie powtórzenia znęcania się nad koniem niedobre-

go woźnicy, sąd skarze go na zastąpienie konia przy dyszlu? A wartałoby, jak również wartałoby i u nas w podobny sposób karać tych wszystkich, którzy znęcają się nad niewinnemi zwierzętami.

Najpiękniejsza morderczyni. Miano „najpiękniejszej morderczyni" zyskała Anna Beulah w Chicago. Swego czasu głośny był w całej Ameryce jej proces. Anna, kobieta rzeczywiście nadzwyczajnej urody, miała kochającego ją młodego i przystojnego męża, który ciężko pracował, by ukochanej żonie na niczem nie zbywało. Mimo to zawiązała czuły romans z niejakim Kalstedtem, którego przyjmowała w domu w czasie nieobecności męża. Pewnego razu, gdy Kalstedt oświadczył, że porzuci ją, bo mu się znudziła, wywiązała się kłótnia, w czasie której Anna zastrzeliła kochanka. Gdy zaalarmowani strzałem sąsiedzi. wraz z policją, wtargnęli do mieszkania, zastali piękną zbrodniarkę, siedzącą najspokojniej obok zwłok, przy grającym gramofonie. Mąż nietylko przebaczył jej, ale wydał ostatnie pieniądze na adwokatów. Dzięki świetnej obronie Annę uwolniono. Wtenczas pierwszym jej czynem było, że go porzuca, bo jest dla niej za powolny. Wzięła z nim rozwód i wyszła za boksera, który sztukę swą uprawiał... na delikatnem jej ciałku, tak, że po trzech miesiącach rozwiodła się z nim, obwiniając go o okrucieństwo. Ostatnie lata spędziła w biedzie i zmarła w tych dniach w przytułku miejskim.

Niezwykła pralnia. Jak wiadomo, w niektórych krajach znajdują się źródła gorące, tak zwane gejzery, z których co pewien czas wytryskuje słup wody gorącej. Jak donoszą gazety amerykańskie, gejzer taki w parku narodowym w Yellowstone wykorzystali żołnierze, stacjonujący w sąsiedztwie, do prania bielizny. „Wystarczy wrzucić do krateru, z którego bucha gejzer, brudną bieliznę i spokojnie czekać na wytrysk — piszą owe gazety. — I rzeczywiście, z chwilą gdy „wulkan" zaczyna działać, woda znajdująca się w kraterze bulgoce jak w kotle, silnie poruszając bieliznę, zupełnie jakby to robiła wytrawna praczka. Poczem w niedługim czasie, gdy woda zostaje wyrzucona na zewnątrz, wystarczy znaleźć się w pobliżu, ażeby otrzymać prześcieradła, koszule lub serwetki zupełnie czyste, bieluteńkie i do połowy wysuszone parą. W ten sposób żołnierze bez trudu i kosztów piorą swoją bieliznę". Może to być prawdą, ale może także być blagą amerykańską.

Krwawa bitwa rudych z szarymi. Przed paru tygodniami obywatele miasta Halaczi, położonego w pobliżu Pekinu, rozbudzeni zostali z głębokiego snu nieopisanym wprost piskiem szczurów. Gdy o świcie udano się za mury miasta, okazało się, iż ziemia pokryta była tysiącami pomordowanych szczurów rudego i szarego koloru. Widocznie rude gryzonie zamierzały wtargnąć do miasta, czemu kategorycznie postanowili sprzeciwić się ich pobratymcy o szarej sierści. Obie armje walczyły z niesłychaną zaciekłością w ciągu kilku godzin, tak, iż okazała się potrzeba sprowadzenia aż ośmiu wielkich wozów, by uprzątnąć trupy z pobojowiska i pogrzebać je w odpowiedniej odległości od miasta, a to celem zapobieżenia ewentualnej zarazie. Po kilku dniach odbyło się nowe starcie jeszcze zacieklejsze, krwawsze i większe — była to rozstrzygająca bitwa, w której zwycięstwo uzyskali rudzi najeźdźcy, szare bowiem szczury zostały formalnie wytępione. Szczegół charakterystyczny: przeciwnicy walczyli z taką furją i zapamiętaniem, że nie zwracali wcale uwagi na tłumy mieszkańców, przyglądających się temu jedynemu w swoim rodzaju widowisku.

RZECZY CIEKAWE.

Osobliwości parlamentów.

Jak wiadomo, parlament może być jednoizbowy, lub też, jak u nas dwuizbowy, w Polsce bowiem parlament składa się z sejmu i senatu, a więc dwóch izb. Do państw z jednem tylko ciałem ustawodawczem należą np.: Bułgarja z „Sobranjem" o 247 posłach, Finlandja z „Eduskunta" o 200 posłach, Łotwa z „Salimą" o 100 posłach, Litwa z sejmem o 85 członkach, Jugosławja z „Skupczyną" o 315 posłach, Luksemburg z „izbą" o 47 członkach, San Marino z „Radą generalną" o 60 posłach, Turcja z „Zgromadzeniem narodowem" z 281 członkami.

W przeciwieństwie do tego jednoizbowego systemu bardzo skomplikowany jest ustrój parlamentarny w Sowietach. Na pierwszym planie stoi „Federalny kongres sowietów", najwyższa władza konstytucyjna, złożona z 2.276 „towarzyszy" obojga płci, następnie „Centralny Komitet Egzekucyjny" (450 członków i 299 zastępców), wreszcie „Rada narodowościowa" z 131 członkami i 53 zastępcami.

Liczebność poszczególnych parlamentów jest bardzo rozmaita. Najliczniejsze w Europie parlamenty są: angielski (642 lordów i 615 posłów), francuski (584 posłów i 314 senatorów), polski (444 i 111), niemiecki (493 i 66), rumuński (369 i 201), węgierski (245 i 243), czecho-słowacki (300 i 150). Kolejno następują: Grecja (286 i 100), Szwecja (230 i 150), Belgja (181 i 153), Szwajcarja (198 i 144), Portugalja (164 i 74), Danja (146 i 76), Irlandja (153 i 60), Holandja (100 i 50), Gdańsk (120 i 21), Norwegja (75 i 25), Albanja (53 i 18), Islandja (28 i 14).

W Ameryce mają Stany Zjednoczone 435 posłów i 96 senatorów, Brazylja 212 i 62, Argentyna 158 i 30, Chili 118 i 36. W Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Meksyku również i kobiety są uprawnione do głosowania; w Urugwaju już 18-letni obywatele mają prawo głosu.

W Afryce, poza posiadłościami Anglji, istnieją dwa tylko parlamenty: w Egipcie (214 i 114) i w Liberji (17 i 10).

W Europie mogą być posłami kobiety: polskie, angielskie, niemieckie, austrjackie, skandynawskie, rosyjskie, belgijskie, estońskie, finlandzkie, łotewskie, litewskie, luksemburskie i czecho-słowackie. W innych państwach mogą być tylko mężczyźni.

Szkoły powszechne w Polsce.

W roku szkolnym 1927/28 szkół powszechnych w Polsce było 26.218, w tem publicznych 24.877. Nauczycieli wykładało 70.143, w tem w szkołach publicznych 65.273. Uczniów w końcu roku szkolnego 1926/27 było 3,334.453, w tem w szkołach publicznych 3,234.961. Średnio na nauczyciela przypada około 50 dzieci. W miastach stosunek ten wynosi 40, na wsi 54. Ponieważ są klasy, które liczą mniej aniżeli 40 dzieci, przeto w niektórych klasach znajdowało się 60 i więcej dzieci.

Odpowiedzi Redakcji.

Na konkurs dla poetów w dalszym ciągu (do dnia 29 kwietnia b. r.) nadesłali utwory pp.: Franciszek Kulak z O., Kazimierz Barnaś z K., Józef Kapuściński z L., Halina Szybowiczowa z L., Władek z Podlasu, Wincenty Cechowy z P., Mieczysław Stawarz z K., Wł. Marko z K., Dominik Chudy z D., Antoni Rząsa z F., Wincenty Kuglin z K., Franciszek Gabryś z Z., Jan Trojak, Kazimierz Ziejka z G., Michał Gracjasz z L., Piotr Leśniak z M., Orlica z B. Wszystkie dotychczas nadesłane utwory, jak i te, które zo-

stały nadane do dnia 1 maja br, odczytamy i ocenimy, poczem tak nagrodzone, jak i co lepsze (kilka) wydrukujemy w „Roli". — **Orlica** w B.: Oczywiście, że talent jest. W utworach Pani jest ten nerw twórczy, podchwytywanie życia na gorącym uczynku, a nadto forma poprawna. Wszystko jednak, co dotychczas Pani nadesłała, są to szkice drobne, a wartałoby popracować nad czemś większem na kilka numerów, napisać i przesłać do „Roli". Szczególniej z życia ludu wiejskiego. Niech Pani spróbuje! Dobrze? — **Lazar Birnbach** w K.: Najtrudniejszym działem twórczości literackiej jest humorystyka. Tu nie wystarczy ani forma, ani styl, ale musi być humor, który, jeżeli już nie wywoła głośnego śmiechu, to musi przynajmniej rozweselić twarz. A gdy humoreska tego nie uczyni, nie jest humoreską. — **Jan Bakalarz** w P.: „Rola" musi być taką, jaką jest, a więc służyć swym Czytelnikom nauką i rozrywką. Gdybyśmy drukowali tylko same artykuły naukowe, wnet zabrakłoby jej prenumeratorów, gdyż w Polsce żadne pismo tylko naukowe bez subwencji, niestety, nie utrzyma się. Na czysto naukowe pisma dają pieniądze rozmaite sowarzyszenia, a niektóre dostają subwencje od rządu, na pisma polityczne, obrzucające błotem często najszlachetniejszych ludzi, łożą partje polityczne, a „Rola" nie otrzymuje znikąd grosza wsparcia, więc na ilości prenumeratorów bardzo nam zależy. My liczymy tylko na moralne poparcie naszych Czytelników i tego rzeczywiście wielu nam użycza, jednając coraz nowych prenumeratorów. — **Władek z Podlasu:** Wszystko to, o czem Pan wspomina, z czasem będzie, ale to tak prędko zrobić się nie da, gdyż trzebaby nie 16, ale 160 stron tygodniowo. — **J. Kurtz** w K.: Wierszyki mile, ale kiedy je wydrukujemy, trudno nam oznaczyć. — **Marjan Skora:** Wiersze w naszej tece czekają na swą kolej. „Wiochna idzie!" dobre. — **Janina Stecka** w N.: Miłość to taka pani, z którą walczyć się nie da. — **Jan Skała** w Z.: Serce jest pałacem, oko jest furtką; kto nie wejdzie w furtkę, nie dostanie się do pałacu. — **Antoni Szymański** w H.: Otrzymaliśmy — po przeczytaniu odpowiemy. — **Władysław Gomuła** z M.: Serdeczne dzięki za pochwały i przysługę. Więcej takich Czytelników dla „Roli", a mogłaby śmiało w przyszłość patrzeć. Cześć! — **Stanisław** z Rz.: Adres zaraz zmieniliśmy i w dalszym ciągu wysyłamy, a jeżeli nie dochodzi, to widać, że na nowem Pańskiem miejscu komuś się spodobała. Wnieśliśm zażalenie i czekamy co urząd pocztowy w Rzeszowie odpowie. Cześć! — **Michał Olesiak** z K. P.: Brakujące numera posłaliśmy Panu. Na reklamację znaczków pocztowych się nie przylepia. Jeżeli się reklamację posyła listowną, to listu nie zalepiać, a zamiast znaczka pocztowego napisać na kopercie: „Reklamacja gazetowa" i wrzucić do skrzynki pocztowej. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie Pana pozdrawiamy. — **January Wilk** z D.: Odpowiemy szerzej w następnym numerze.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 27 kwietnia b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·97 do 1·80 zł.	Jałownik	od 1·09 do 1·76 zł.
Woły .	od 1·20 do 1·80 zł.	Cielęta .	od 1·35 do 2·12 zł.
Krowy .	od 0·76 do 1·78 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·80 do 2·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do 2·90

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył W. G. z Sz.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rodzaj ciastka franc.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Propozycja, wspak
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Kamień szlach. wspak
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej pogląd.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Okres czasu
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię z 1001 nocy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Gr. nimfa wodna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miłosne umizgi, wspak
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Fr. rusałka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Znawca natury ziemi.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Broń.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Maść konia, wspak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rodzaj czapki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Część składowa.

Litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół dadzą zdanie o stałym współpracowniku działu zagadek w „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

I.

Polak zasłużony, rzeźbiarz sławny w świecie
Imię pierwsze drugie nosił wszak to wiecie.
Kara rezultatem pierwszej czwartej bywa,
Na drugie i czwarte muzyka przygrywa,
Trzecie czwarte w wojnie użyte bywają.
Czasem je na twarzy żartownisie mają.
Czwartego drugiego blacharz potrzebuje.
Czwartem żyd pokornie, gdy interes czuje.
Całość się w niektórych potrawach znajduje
A ten je spożywa, kto zdrowie szanuje.

II.

Pierwszy to zwierzę z futerkiem ładnem,
W lesie się czuje panem wszechwładnym,
Wszystkich myśliwców marzeniem bywa,
Za dnia się zwykle w norze ukrywa.
Pierwszy pół drugi piszę do „Roli",
Gdy Pan Redaktor na to pozwoli.
Drugie w zaimków rzędzie znajdziecie.
Trzecie to rzeka w ciepłym klimacie,
Łatwo zgadniecie jak się nazywa.
W całości człowiek smutku zażywa.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Patulski z O.).

Zwykła zagadka to nie szarada,
w jakiś statek Polska posiada.
Który ton miljon przeszło podażu
na swym pokładzie dźwiga odrazu.
Ma wielotysięczny stan do obsługi,
a jest szeroki prawie jak długi.

4. Przestawianki.

(Ułożył „Yoga" z K.).

I.

E! Trudy weg! Kochaj siebie, decyduj o innych.

II.

A, ba, by, by, by, cej, i, i, i, je, kwie, las, mno, na, na, na, na, naj, nas, szcze, tniu, w, wię, zi, ża.

III.

Sezam niósł „bene" jego worek do trzecich Pęget.

5. Łamigłówka w kwadracie.

(Ułożył T. Kwerka z W.).

b				k
	g		d	
		w		
	d		p	
k				a

W powyższej figurze wypełnić puste kratki literami, aby dały wyrazy o jednakowem znaczeniu, w kierunku pionowym i poziomym.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 17 „Roli": 1. Logogryf: Adam Mickiewicz. 2. Szarady: I. Gramatyka. II. Godzina. III. Zakonnica. IV. Karabin. 3. Przestawianki: „Nie odrazu Kraków zbudowano". „Nie wszystko złoto, co się świeci". „Poznać głupiego po śmiechu jego". „Czem kto wojuje, od tego ginie".

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Teofil Pospiszyl z Z., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Feliks Popielarczyk z W. D., Wawrzyniec Rzepka z O., Tadeusz Sarnowicz z T., Jan Czader z S. W., Piotr Wenc z Ś., Wł. Marko z K. i „Yoga" z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Czader z S. W. i Feliks Popielarczyk z W. D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Jeśli w niebie nie zmieniają się mody, to życie wieczne dla kobiet będzie strasznie monotonne.

* * *

Nie trzeba zbyt długo czekać na to, by żonaty człowiek przekonał się, że życie małżeńskie jest zgoła inne od tego, jak je sobie wyobrażał.

* * *

Mów o kim dobrze, a napewno zaliczy cię do swoich przyjaciół.

* * *

Nie myśl, że gdy ci kto da prezent, nie będzie to cię nic kosztowało...

* * *

Jeżeli chcesz być swoim wujem, to ożeń się z ciotką i sprawa zakończona.

* * *

Spodziewać się wiosny w styczniu... to tak samo, jak spodziewać się wzajemności w miłości, gdy się samemu ma 60 a żona 16 lat życia.

* * *

W świecie już tak jakoś urządzone, że dziewięciu ludzi robi na jednego.

Nie oszukał.

— Oszukałeś mnie wczoraj, ty potworze! Powiedziałeś, że idziesz odwiedzić przyjaciela, a tymczasem poszedłeś do knajpy...

— Wcale cię nie oszukałem, bo przyjaciel mój siedział właśnie w knajpie.

Nie zrozumiał.

Jednego parobka, biorącego ślub, zapytał się ksiądz, czy ma wolną, a nie przymuszoną wolę wziąć (N) za małżonkę? Na co parobek, podrapawszy się po głowie, odpowiedział:

— Ja nie wiem, jegomość, bo ja jeszcze nigdy się nie żeniłem...

Więc ksiądz jeszcze raz go pyta:

— Chcesz się z tą panną żenić, albo nie?

— A już-ci że chcę, jegomość, toć-żem na to tu przyszedł...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 kwietnia b r.

Pszenica .	60·00--61·00	Słoma długa	13·00—14·00
Żyto .	55·00--56·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	47·00--48·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	48·00--50·00		
Łubin żóły	28·00--29·00	Otręby żytnie	34·50—35·00
Fasola biała	58·00-62·00	Mąka żytnia	79·00—80·00
Groch zwyk.	61·00-65·00	Mąka pszen.	92·00—93·00
Siano słodk.	19·00-21·00	Otręby pszen.	34·00—35·50
Koniczpastew.	26·00—27·00	Mąka czerw.	38·00—39·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

WOJCIECH BYCZEK.

Echa wiejskie

Poezje.

Młody poeta ludowy, mający za sobą piękną już twórczość i dorobek poetycki, wydał pod powyższym tytułem zbiór swoich najcelniejszych utworów.

Te „Echa wiejskie“ powinny znaleść się w każdym domu na wsi ,bo są to pieśni jej syna, zrodzone dla Braci od pługa. Cena dla Czytelników „Roli“ 1.50 zł. za egzemplarz. Dla innych 2 zł. Do ceny dolicza się porto pocztowe. Zamówienia przyjmuje Biuro Małopolskiego Związku Młodzieży — Kraków, Plac Szczepański L. 8, III. p.